



ODGŁOSY

KODEKS PRACY — z dr hab. HENRYKIEM LEWANDOWSKIM rozmawia Włodzimierz Stokowski ▶ WYPADEK NA ULICY — Adam Nonas ▶ CIENIE W RAJU Erich Maria Remarque ▶ POWRÓT — Stanisław Bąkiewicz ▶ METRESA I MATADORZY — Konrad Frejdlch ▶ OPOWIADANIE — Zdzisław Kaczmarek i Andrzej Kowalewski ▶ KIOTO — ŚWIĘTE MIASTO JAPONII — Jerzy Czech ▶ 27 ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI INDII — Jan T. Janicki ▶ JAK CZYTAĆ BISKUPSKIEGO — Mieczysław Kucner ▶ WIERSZE ▶ LATO I DZIECI — fotoreportaż Włodzimierza Parysa ▶ WSPOMNIENIA KARIN STANEK ▶ RECENZJE ▶ FELIETONY ▶ REREPORTAŻE ▶ POLEMIKI

TADEUSZ
SZEWEERA

„SPOZA GÓR i RZEK”

„Spoza gór i rzek” wyszli na brzeg i pytali się ludzi: „czy stąd niedaleko już, do grających wierzb, malowanych zbóż?”. I śpiewali pieśń, która z nimi szła tak samo z daleka i tak samo długo, jak oni:

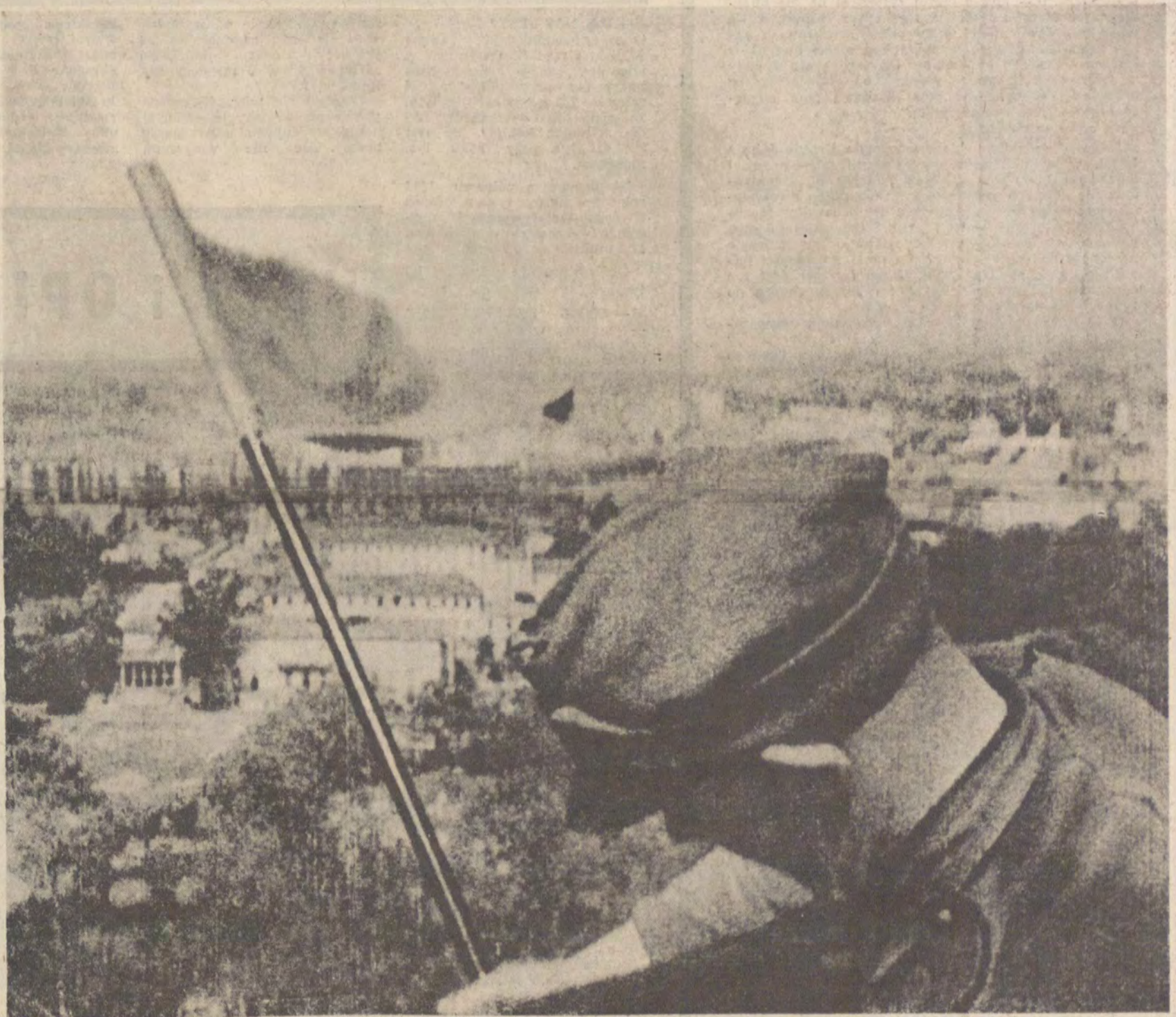
Wczoraj tacy, mundur dziś,
Seisnij pas, pora łcie!
Ruszał Pierwszy Korpus nasz,
Spoza gór i rzek
Na zachód marsz!

Kto napisał dla nich tę pieśń, która ich wiodła do Kraju, chyba wtedy nie wiedzieli. Ale to była ich pieśń: pieśń Ludowego Żołnierza i razem z nim przechodziła do Historii, jako sławny „Marsz Pierwszego Korpusu”.

Kiedy dzisiaj słyszymy tę pieśń przy różnych okazjach, na pewno również w większości nie wiemy, kto skomponował muzykę do słów poety Adama Ważyka, wówczas (w latach wojny) oficera I Armii. Nawet nie przyjdzie nam na myśl, że dla kompozytora, Aleksandra Barchacza, Łódź jest szczególnie bliska i tak samo droga, jak dla wielu spośród nas. Zresztą i ja, chociaż interesują mnie szczególnie dzieje wojennych pieśni, przez długi czas nie wiedziałem nic konkretnego o twórcy muzyki do jednej z najbardziej znanych pieśni żołnierskich II wojny światowej. Poza drobnymi wzmiankami, że był on podporucznikiem w I Dywizji WP im. Tadeusza Kościuszki i że przez jakiś czas pełnił funkcję kierownika muzycznego Teatru I Armii, niczego w powojennych publikacjach nie było można znaleźć; ani w muzycznych, ani w tych, które omawiają historię Odrodzonego Wojska Polskiego.

Wydawało się więc, że próby odszukania kompozytora i dowiedzenia się czegoś więcej nad to, że był twórcą

Dalszy ciąg na str. 5



ANDRZEJ BLAJER

AKCJA „TUNEL”

Połowa lat pięćdziesiątych, Europa — w szczytowym okresie zimnej wojny. Państwa bloku NATO dążą wszelkimi siłami do zachwiania i tak kruchej już równowagi sił powstałej w wyniku Układu Poczdamskiego. Ich bezpośrednim celem są kraje demokracji ludowej, a szczególnie Niemiecka Republika Demokratyczna. Wszystkie środki są dobre — dywersja, sabotaż, spisek. W tych usiłowaniach wiodąca rola przypada państwu zrodzonemu z rewizjonistycznych tradycji przeszłości — spadkobiercy pruskiego i hitlerowskiego militarystyki i szowinizmu — Niemieckiej Republice Federalnej, rządzonej przez adenauerowską CDU/CSU. Nie jest ona w tych działaniach osamotniona, ma za sobą silne poparcie kół militarno-politycznych światowego kapitalu, NRF jest bowiem w tym czasie przedmurzem „atlantyckiej Europy”. Wśród ludzi kierujących tymi działaniami nie brak tych, którzy odgrywali czołową rolę w systemie nazistowskim. Jednym z nich jest właśnie general Reinhard Gehlen — szef zachodniemieckiej służby wywiadowczej BND. Główny cel przyswiewający tej organizacji, to podejmowanie wszelkich posunięć, które mogą doprowadzić do erozji systemu politycznego drugiego państwa niemieckiego, w dalszym zaś etapie — do jego obalenia. Przykłady takich działań można by mnożyć.

Dalszy ciąg na str. 6

IDZIE, SKACZĄC

PRZEZ KAŁUŻE

EWA OSTROWSKA

Jest dwudziesty czerwiec, czwartek, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty rok. Przed chwilą spadł ulewny deszcz, szybki i pośpieszny: już lato. Droga rozkleja się kałużami. Refleks słońca na szybach jeszcze mokrych ożywia je na moment fałszywie — drzwi szkoły zamknięte, późne popołudnie, za szybami okien ciśnie, koniec roku szkolnego przerwał życie tego budynku, pograżył w ciemność, dzwonek na lekcje zabrzmiał dopiero za dwa miesiące. Stoję przed pustą szkołą bez sensu i na próżno; nagle straciłam odwagę; wiem, że nie potrafię zapukać tutaj do żadnych drzwi żadnego z domów; że nie zapytam nikogo o Romana Zrobka, daw-

nego kierownika szkoły podstawowej w Galkówku, pragnę bowiem ocalić przekonanie, że pamięć żywych potrafi być wierna; chcę wierzyć, że wielu ludzi stąd zachowuje wciąż w myślach postać nauczyciela, a może u kogoś, wśród rodzinnych pamiątek, uśmiecha się z jakiejś przechowywanej pieczołowicie fotografii: może; ale równocześnie zdaje sobie sprawę z kruchej ulotności wspomnień, bo pamięć żywych przede wszystkim dotyczy żywych, także jej prawo; i dlatego ta kobieta w dmosinie którą zatrzymałam, wzruszyła ramionami,

KONKURS
NA REPORTAŻ
O ZIEMI ŁÓDZKIEJ

III NAGRODA

niechętnie, na twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia; nazwisko, które padło, było już dla niej obce, toteż musiała długo szukać w swojej pamięci, przywołanej sprawami dnia dzisiejszego, a ponieważ śpieszyła się do

Dalszy ciąg na str. 6

PROSZĘ O GŁOS!

DOM NA ROZDROŻU

Nie tak dawno Feliks Bąbel pisał w „Odgłosach” o zmianach, jakie zachodzą na Czerwonym Rynku. Powstaje tam nowe osiedle, a w jego pobliżu rośnie drugie: „Dworzec Chojny”. Cały ten rejon żyje w cieniu wielkiej budowy i ponosi różne tego stanu konsekwencje. Artykuł Feliksa Bąbela, w którym autor wspominał przeszłość tej części miasta oraz rysował jej przyszłość, spotkał się ze swoistą reakcją. Do redakcji wpłynął list, w którym jego autorzy — mieszkańcy domu przy ulicy Mochackiego nr 19 — stwierdzają:

„Co było, wiemy, co będzie zobaczymy, a na razie chcielibyśmy opowiedzieć, co jest.”

Opowieść ta zresztą nie dla redakcji, ani tym bardziej dla Czytelników „Odgłosów” — była pierwotnie przeznaczona. Zaadresowano ją do WYDZIAŁU URBANISTYKI I ARCHITEKTURY Urzędu Miasta Łodzi, który obecnie — jak głosi odpowiedź na pismo zainteresowanych — nazywa się WYDZIAŁEM GOSPODARKI PRZESTRZENNEJ Urzędu Miasta Łodzi. Ale jak go zwał, tak go zwał, pismo mieszkańców trafiło we właściwe ręce, skoro przyszła na nie odpowiedź. Pismo to wysłano do Wydziału Gospodarki Przemysłowej Urzędu Miasta Łodzi 13 czerwca 1974 roku, odpowiedź nadeszła do domu przy ulicy Mochackiego 19 — 25 czerwca 1974 roku. List do redakcji przyszedł pod koniec lipca 1974 roku. Dołączono do niego kopię wspomnianego pisma i kopię odpowiedzi nadeszłej z Urzędu Miasta Łodzi.

Na co skarżą się mieszkańcy domu przy ulicy Mochackiego nr 19?

„Budowa osiedla „Czerwony Rynek” — piszą mieszkańcy domu przy ul. Mochackiego 19 do Urzędu Miasta Łodzi — objęła swym zasięgiem ul. Mochackiego już w roku 1972. Od tego czasu rozpoczęły się na wyżej wymienionej ulicy roboty związane z zakładaniem kanalizacji, wyburzaniem części budynków i wreszcie roboty budowlane. Od tego czasu żyjemy w warunkach krańcowo różnych od obowiązujących przepisów sanitarnych i bezpieczeństwa oraz przyjętych norm życia i odpoczynku.”

Na czym to polega?

Jak wynika z listu, kierowanego do Urzędu Miasta Łodzi, w wyniku prac budowlanych odcjęty został dojazd do domu przy ul. Mochackiego 19. Z budynków nie objętych jeszcze kanalizacją płyną nieczystości i gromadzą się przed domem nr 19 na ulicy Mochackiego. Tumany kurzu i pyłu z pobliskiej budowy uniemożliwiają wietrzenie mieszkań i wychodzenie z dziećmi na spacer. Dzieci nie mają możliwości bawienia się w pobliżu domu. Teren budowy jest nie ogrodzony i zarówno dzieci jak i dorośli chodzą po tym terenie narażając się na wypadek.

O 15 metrów od plotu, okalającego dom, wznoszony jest blok, z którego 3 czerwca 1974 roku spadły kawałki płyt piśnolowych na podwórko, a następnego dnia płyta betonowa o wymiarach — jak piszą mieszkańcy domu przy ul. Mochackiego nr 19 — 240 × 120 cm. Upadła ona w pobliżu wózka z półtorarocznym dzieckiem.

W związku z tym mieszkańcy domu przy ulicy Mochackiego 19 za pośrednictwem Komitetu Domowego proszą:

„Ze względu na systematyczne przesuwanie terminu rozbiórki budynku przy ulicy Mochackiego 19, prosimy o powtórne rozpatrzenie wyżej wymienionej sprawy, po uprzednim wnikliwym zapoznaniu się z warunkami, w jakich zmuszeni jesteśmy żyć.”

Mieszkańcom domu przy ul. Mochackiego 19 — odpowiedział zastępca dyrektora Wydziału Gospodarki Przemysłowej Urzędu Miasta Łodzi — zastępca Głównego Architekta — inż. arch. Bogdan Niewiarowski, a odpowiedział w sposób następujący:

„Wydział Gospodarki Przemysłowej Urzędu Miasta Łodzi informuje, że w chwili obecnej nie ma możliwości rozbiórki w wym. nieruchomości z uwagi na brak izb zastępczych. Teren wokół omawianego budynku będzie uporządkowany po zakończeniu inwestycji.”

Koniec. Kropka. Inż. arch. Bogdan Niewiarowski nie był uprzejmy poinformować, kiedy nastąpi „zakonczenie inwestycji”. Dla niego sprawa jest zamknięta. „Nie ma możliwości”. „Teren będzie uporządkowany”. Ale dla mieszkańców domu przy ulicy Mochackiego 19 — nie.

Rozumiem doskonale, że izb zastępczych nie mamy w Łodzi pod dostatkiem, a to z tego powodu, że dużo budujemy, musimy więc dużo wyburzać w mieście. Ludzie czekający w kolejce po mieszkanie nie otrzymują ich z tego powodu w uprzednio wyznaczonym terminie, bo wiele izb przeznaczają się dla tych, którym burzy się domy. Jest to proces naturalny przy rozbudowie miasta. Skoro jednak nie można przyspieszyć rozebrania domu przy ul. Mochackiego 19, to można przecież znaleźć takie rozwiązanie, aby ludziom tam mieszkającym budowa nie przeszkadzała. I o to mam pretensję do Wydziału Gospodarki Przemysłowej Urzędu Miasta Łodzi, że takiego rozwiązania nie poszukal.

A przecież nie tak dawno wiele mówiono się i pisało o samorządzie mieszkańców, mówiono się i pisało o tym, że mają oni być współgospodarzami terenu, że mają nie tylko decydować o lokalnych rozwiązaniach, ale i być partnerem w pertraktacjach z władzami miasta, a nawet wysuwać wobec nich konkretne i realne postulaty i żądania. Sądzę, że żądanie zaprowadzenia porządku wokół domu przy ulicy Mochackiego 19 jest ze wszech miar realne i konkretne. Dziwi mnie więc, dlaczego nie pomyślano o samorządzie mieszkańców, dlaczego nie spróbowano porozumieć się i poszukać wspólnie doraźnego przynajmniej rozwiązania. Sądzę, że jest jeszcze na to czas. Najwyższy, bo nie daj Boże zdarzy się tam tragiczny wypadek i wtedy wszystko, co się przedsięwzięmie będzie spóźnione. Dlatego proponuję inż. arch. Bogdanowi Niewiarowskiemu, aby Wydział Gospodarki Przemysłowej Urzędu Miasta Łodzi zobaczył jednak możliwość porozumienia się z samorządem mieszkańców i poszukał z nim wspólnie doraźnego rozwiązania porządkowego.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PEŁNA MOBILIZACJA W ROLNICTWIE

Ostatnie kilka dni dobrze, prawdziwie letniej pogody sprawiły, że żniwa w całym kraju wkroczyły w swoją kulminacyjną i decydującą fazę. Prawie dwa miliony osób pracuje dzień i noc przy żniwach. Łańcuch ludzi dobrej woli i solidarności z naszymi rolnikami w ich ciężkiej batalii o chleb objął cały kraj, całe społeczeństwo.

Kapryśna aura i niesprzyjające warunki atmosferyczne były przyczyną przedłużonego, średnio w kraju od 10 do 20 dni, okresu wegetacyjnego wszystkich gatunków roślin uprawnych. Ciepłe deszcze i chłody uniemożliwiały prace, a przynajmniej w poważnym stopniu ograniczały możliwości rolników przy zbiorach zbóż w pierwszej ich fazie. Przed rolnictwem stanęło poważne i dość rzadko spotykane zadanie — skrócenia o połowę czasu przeprowadzenia wszystkich prac żniwnych. Wzrost arealu upraw i względnie dobrze zapowiadające się wysokości plonów z hektara sprawiły ponadto, że rozmia-

tych prac uległy znacznemu powiększeniu. Zebrać znacznie więcej i w znacznie krótszym czasie jest zadaniem niezmiernie trudnym, szczególnie przy wybitnie niesprzyjających warunkach atmosferycznych, wymagającym maksymalnej mobilizacji sił i środków. Naprzeciw zwiększonym zadaniom wyszło całe społeczeństwo — sprawnie przeprowadzenie żniw uznano za problem nr 1. Wydane w tej sytuacji dwa zarządzenia Prezesa Rady Ministrów stworzyły nowe możliwości w dziedzinie wykorzystania i zorganizowania frontu prac i jego zaplecza.

W chwili obecnej możemy stwierdzić, iż szans tych nie zmarnowano. Województwa południowe i centralne skończyły właściwie kośćbę żyta. Granice frontu przesuwały się coraz bardziej na północ. Dobrze przebiega sprzęt jęczmienia, który skoszone już w 80 procentach. W ostatnich dniach przyspieszono również zbiór pszenicy i owsa. W wojewódz-

twach centralnych oraz w Wielkopolsce, na ziemi krakowskiej Lubelszczyźnie i Rzeszowszczyźnie prace żniwne obecnie — to przede wszystkim zwozka snopów do stodół, ustawianie ich w sterty i stogi oraz młocka. Najważniejszą sprawą w chwili obecnej jest przyspieszenie zbioru zbóż nasiennych, które jeszcze w tym miesiącu muszą trafić do rolników. Stąd też nie tylko w rolnictwie, ale także w placówkach centrali nasiennej oraz jednostkach spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu a także PZZ trwa wyteżona praca na trzy zmiany przy transporcie, suszeniu i ocenie ziarna siewnego. Dziesiątki ton wysuszonego i oczyszczonego ziarna, które jako kwalifikowany materiał siewny, jest dostarczane stad do gminnych spółdzielni — generalnego dystrybutora.

Już za kilka dni całość kwalifikowanego ziarna rzepak, przeznaczony na tegoroczne siewy, znajdzie się u producentów. Do połowy miesiąca zasiano już rzepak na powierzchni 15 tys. ha, najwięcej w rejonach północnych. Zwiększone potrzeby przemysłu olejarskiego i pasowego oraz duże możliwości eksportu sprawiły iż posiadaliśmy sobie za zadanie podwojenie arealu uprawy tej rośliny. Jak do tej pory najlepiej z tego obowiązku wywiązuje się województwo białostockie,

gdzie między innymi terminowo zasiany rzepak już powszednio.

Równocześnie ze sprzętem zbóż żniwne obecnie — to prace polowe. Stosownie do możliwości i konkretnych warunków atmosferycznych przeprowadzane są zabiegi pod przyszłe kultury rolne. Wykonuje się podorywki, przeprowadza wapnowanie gleby i dokonuje siewu poplonów ścierniskowych. W ten sposób przygotowuje się gleby pod przyszłoroczne uprawy i stwarza zaplecze pasowe do produkcji mięsa. W taki też oto sposób tegoroczne prace żniwne sprężają się nierozdzielnie z wysokością zbiorów przyszłego roku i decydują w ostatecznym wypadku o zbiorach dwóch lat.

To był dobry tydzień dla rolnictwa. Mimo ogromnego spiętrzenia prac i naturalnego pośpiechu, by nie uronić ani jednej godziny sprzyjającej pogody i maksymalnie ją wykorzystywać, wszystkie poczynania charakterystyczna organizacyjna dojrzałość i gospodarska odpowiedzialność. Chodzi teraz o to, aby w okresie najbliższych tygodni, utrzymać to wysokie tempo prac i nie stracić nic z tej atmosfery rzetelnego wysiłku w walce o chleb dla wszystkich.

J. J.

— ILE NAS JEST? Na to pytanie odpowiada jak zawsze Miejski Urząd Statystyczny. A więc jest nas — a ściślej było nas w pierwszym półroczu 1974 roku — 783,9 tys. osób, z tym, że większość mieszkańców Łodzi stanowią kobiety, bo jest ich 421 tys. przy 362,9 tys. mężczyzn.

W pierwszym półroczu 1974 roku na każdy tysiąc łodzian 8,7 osób — statystycznych oczywiście — zawarło małżeństwo, 12,3 urodziło się, 9,9 umarło.

Ogółem pracuje w Łodzi 431,6 tys. osób.

— CYKL INWESTYCYJNY — to okres, w którym planuje się rozpoczęcie, pracę i ukończenie danej budowy. Obecnie coraz częściej mówi się, że cykle inwestycyjne są u nas zbyt długie, że przy dobrej organizacji pracy można je znacznie skrócić. I oto na przykład modernizację przedziału w zakładach „Polmerino” dokonano zamiast w 18 — w 12 miesiącach. Słowem o pół roku skrócono pierwotnie planowany cykl. W spółdzielni Elektrociepłowni im. W. Lenina prace przy jednym z bloków energetycznych planowana na 35 miesięcy, a wykonano w 29 miesięcy. Budowę bazy w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym w Łodzi planowano na 23 miesiące, a trwała ona 20 miesięcy. Pracownicy przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej kolektor

sanitarny „Polesie 5” wybudowali w 12 zamiast w 18 miesięcy — kolektora „Widzew 4” w 6 miesięcy zamiast w 17.

Okazuje się więc, że można prowadzić inwestycje szybciej niż przewidują to odpowiednie normy. Ale nie wszystkim

lewickiego modernizacja dzielnicowa trwała 24 miesiące zamiast 9. Budowa przedszkola na Zarzewie o 9 miesięcy dłużej niż planowano, żłobka na Osiedlu Wielkopolska — o 4 miesiące dłużej, a domu dziecka przy ulicy Małachowskiego — o 8 miesięcy dłużej.

gim kwartale 1974 roku, a które ich nie ukończyły. Na liście tej znajdują się między innymi: ZPB „Ariadna”, ZPDz „Olimpia”, ŁFMJ „Majed”, Przedsiębiorstwo Remontowo-Montażowe Handlu Wewnętrznego, brygady przedsiębiorstw gospodarki komunalnej budujące magistrale wodociągowe „Polesie — 18” i „Polesie — 13”, budowniczo-żłobka na osiedlu Pojezierska, laboratorium w szpitalu im. Biegańskiego oraz bazy magazynowej dla Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego.

Natomiast według danych już z lipca należy pochwalic budowlanych i ekipy montażowe pracujące przy budowie wytwórni „Pepsi — Cola”, Instytutu Papiernictwa Politechniki Łódzkiej, Instytutu Włókiennictwa i wytwórni dla „ZREMBU” oraz brygady budujące wiadukt przy ul. Obywatelskiej i wytwórnię mas bitumicznych na Olechowcu.

oczywiście nie o pochwałę czy przyganę tu chodzi, ale o zastanowienie się w gronie odpowiedzialnych fachowców, jakie są przyczyny tego, że jedni mogą pracować sprawnie i nie tylko terminowo, a szybciej niż przewidywano, a innym potrzeba więcej czasu, nie są w stanie zdażyć w czasie planowanym z ukończeniem prac, a często i tak robią je niedbale, marnując pieniądze, czas, materiały i urządzenia.

NOTY I OPINIE

starca czasu planowanego. I tak, w czasie planowanym realizowano zadania inwestycyjne w „Uniprocie”, ZPB im. St. Dubois, „Chemobudowie”, Fabryce Domów. Natomiast nie starczyło planowanego czasu wielu innym. Na przykład budowa pomieszczeń dla Instytutu Medycyny Pracy w Przemysle Włókienniczym i Chemicznym trwała o 6 miesięcy dłużej niż to przewidywano. W Łódzkich Zakładach Drobnarskich rozruch agregatu w chłodni trwał o miesiąc dłużej niż planowano. W Spółdzielni Pracy im. W. Wró-

Nie wszyscy zatem potrafili tak sobie zorganizować pracę, aby móc ją wykonać, jeśli już nie w krótszym, to przynajmniej w planowanym terminie. Okazuje się bowiem, że choć potrafimy już budować i montować maszyny sprawniej i szybciej, to jeszcze nie wszyscy. Lista tych, którzy pracują dłużej niż planowano, którzy opóźniają przebieg procesu inwestycyjnego jest znacznie dłuższa niż ją powyżej przedstawiono. Uzupełnić ją należy o te przedsiębiorstwa, które swoje zadania miały ukończyć w dru-

WYPADEK na ULICY

Gwałtowny rozwój motoryzacji, jaki obserwujemy w naszym kraju od początku lat siedemdziesiątych, nie ominął również Łodzi, gdzie notujemy znaczny przyrost ilościowy pojazdów. Gdy w roku 1970 mieliśmy ich 55,6 tys. to w trzy lata później już 68 tys.

Niestety, obok wielu cech pozytywnych rozwój motoryzacji niesie z sobą szereg zjawisk ujemnych, takich jak zanieczyszczenie powietrza, niszczenie środowiska naturalnego, dokuczliwy dla otoczenia hałas, a przede wszystkim, co odczuwamy szczególnie boleśnie — wypadki drogowo.

Jest to bardzo wysoka cena, jaką płacimy za rozwój motoryzacji. W tej sytuacji bezpieczeństwo ruchu drogowego staje się problemem społecznym. Niemożliwe jest całkowite uniknięcie wypadków, lecz całkiem realne jest skupienie wszystkich sił na takim działaniu organizacyjnym, profilaktycznym i represyjnym, aby ograniczyć ich ilość i skutki.

W roku 1973 udało się w Łodzi doprowadzić do zmniejszenia liczby wypadków i ograniczyć ich skutki.

Tendencja, jaka zarysowała się w I półroczu 1974 r. wskazuje na to, że osiągniemy dalszą poprawę.

Ze szczegółowej analizy miejsc wypadków wynika wniosek, że nadal szereg ulic jest niedostatecznie przygotowanych do przebiegu szybkiego wzrastającego ruchu. To tylko jedna strona medalu.

Smutna jest i druga tego medalu strona — nieadyscyplinowanie i niska kultura korzystania z dróg przez pieszych i kierowców. Nieprawidłowe prowadzenie pojazdów było przyczyną większości wypadków, zaś niewłaściwe zachowanie pieszych na jezdni spowodowało aż dwie trzecie katastrof.

Niestety częste „wiązanki”, jakimi obdarzają kierowcy pieszych, są uzasadnione. Właśnie

bowiem w grupie pieszych obserwujemy wzrost ilości wypadków. Dość powiedzieć, że przyczyną 95 proc. wypadków wśród pieszych to właśnie nagłe wtargnięcie na jezdnię, stan nieprawidłowy jak również nieprawidłowe przechodzenie jezdni.

Nieco lepsza jest sytuacja wśród kierowców, choć tu też na czele przyczyn spowodowanych przez nich wypadków są typowe „grzechy”, takie jak nieprzestrzeganie zasad pierwszeństwa przejazdu, niebezpieczna szybkość, wjazd na drogę dla pieszych, nieprawidłowe wyprzedzenie i wymijanie oraz oczywiście nietrzeźwość.

Wystarczy dodać, że lekceważenie zasad pierwszeństwa przejazdu oraz przekroczenie obowiązującej prędkości doprowadziło do śmierci 14, a zranienia 534 osób. Niestety także na przejściach dla pieszych zginęło 13 osób. Niepokojący jest wzrost liczby osób zasiadających za kierownicą po użyciu alkoholu. Tu cyfra są wręcz przerażająca — 646 w roku 1973 wobec 357 w roku 1972. Iu takich kierowców jednak nie zastrzymano. Tym razem jakoś się udało, ale czy na długo?

Największą ilość wypadków na swoich koniach mają kierowcy samochodów osobowych — 643. Najczęściej bowiem, szczególnie nowe pojazdy, prowadzą osoby o niewielkich umiejętnościach w tym zakresie — tzw. kierowcy niedzielni.

Znaczny procent ogółu wypadków stanowią kolizje pow-

stałe w komunikacji miejskiej. Było ich 495 w 1973 r. — w wyniku czego zginęło 26 osób, a rannych zostało 536. Niemniej nastąpił spadek w porównaniu z rokiem 1972. Niewątpliwie systematyczne wprowadzanie w coraz większej ilości wozów z automatycznie zamkniętymi drzwiami zapobiegło wielu wypadkom. Lekkość prób wyskakiwania i wyskakowania z będących w ruchu tramwajów często przecież kończyły się tragicznie.

Natomiast wśród kierowców autobusów i motorniczych, główną przyczyną spowodowanych przez nich wypadków jest nieprzestrzeganie zasad pierwszeństwa, a także tzw. kawalerska jazda; niebezpieczna prędkość, nagłe hamowanie itp.

W tej sytuacji, aby utrzymać nadal tendencję spadkową zastosowano szereg posunięć, zarówno w zakresie organizacyjnym jak i profilaktyczno-represyjnym. O 80 proc. wzrosła ilość mandatów, aż o 137 proc. ilość wniosków do kolegów do spraw wykroczeń, które wydały 5.019 prawomocnych rozstrzygnięć. Przeprowadzono szereg kontroli stanu technicznego pojazdów, rozszerzono szkolenie kierowców, zorganizowano spotkania z użytkownikami dróg. Szczególną uwagę zwrócono na uczenie młodzieży podstawowych zasad przepisów ruchu drogowego.

ADAM NONAS

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANOWSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Z DR. HAB. HENRYKIEM LEWANDOWSKIM docentem w Zakładzie Prawa Pracy UŁ — rozmawia Włodzimierz Stokowski

— Panie Docencie, dlaczego wynika konieczność kodyfikacji prawa pracy?

— Niekonsekwencja naszego ustawodawstwa pracy jest powszechnie znana. Przepisy są zawarte w kilkudziesięciu aktach rangi ustawy — z których ponad dwadzieścia to ustawy i dekryty zawierające wyłącznie normy prawa pracy — oraz w znacznie większej liczbie aktów wykonawczych. Niezależnie od tego wiele spraw, mających niejednokrotnie bardzo istotne znaczenie, regulują tzw. uchwały samostanne Rady Ministrów oraz zarządzenia, wytyczne, pisma okólne Prezesa Rady Ministrów czy też poszczególnych ministrów, a więc akty instrukcyjne. Poruszanie się w tym gąszczu przepisów sprawia niemało trudności specjalistom tej dziedziny prawa, a już niewspółmiernie więcej trudności innym prawnikom, nie mówiąc o ludziach nie mających przygotowania prawniczego. Wiadomo poza tym, iż niektóre przepisy pochodzą z okresu międzywojennego i nie odpowiadają aktualnym warunkom społeczno-ekonomicznym w naszym kraju. Całość jest niespójna, występują w niej luki, a nawet formalne sprzeczności. Taki stan prawny był źródłem niezadowolonych i konfliktów. Stąd też zrozumiałe, że z taką niecierpliwością oczekiwano na kodeks pracy.

— Dlaczego więc tak późno skodyfikowano prawo pracy? O ile mi wiadomo, wszystkie kraje europejskie naszego obozu mają kodeksy pracy już od dość dawna?

— Istotne, w Związku Radzieckim pierwszy kodeks pracy ukazał się już w 1918 r., pierwszy kodeks pracy w Rumunii został uchwalony w 1950 r., a w Bułgarii i na Węgrzech — w 1951 r. W NRD kodeks pracy istnieje od 1961 r., a w Czechosłowacji od 1965 r.

Dwie zasadnicze przyczyny złożyły się na to, że Polska dopiero od paru tygodni ma Kodeks pracy. Pierwszą wynika z założenia, że kodyfikacja jest możliwa dopiero wówczas gdy osiągnięte się pewien etap rozwoju prawa, kiedy zostaną ukształtowane jego podstawowe instytucje. Dopiero wtedy można tworzyć akt o tak zasadniczym znaczeniu. Doświadczenie wielu krajów wskazuje, że tam gdzie nie kierowano się tą przesłanką powstawały kodeksy na ogół o charakterze dość ogólnym albo takie, które już po paru latach wymagały nowelizacji ponieważ były oparte na cudzych wzorach, nie odpowiadających stosunkom społeczno-gospodarczym i poziomowi kultury prawniczej danego kraju.

Trudno by się wdawać w rozważania, czy obecny stan prawny stanowi już wystarczająco mocny grunt do kodyfikacji, jednakże należy zaznaczyć, że niektóre zagadnienia zostały unormowane całościowo, a ich regulacja, w jakimś stopniu, sprawdzona także w praktyce.

Można tu wymienić takie dziedziny, jak bezpieczeństwo i higiena pracy oraz urlopy wypoczynkowe. Wiele rozwiązań wykształciły też układy zbiorowe pracy i orzecznictwo sądowe. Jeżeli chodzi o naukę prawa pracy, to mamy już opracowania dotyczące większości podstawowych instytucji prawa. W każdym razie, z tego punktu widzenia, stan obecny był o wiele korzystniejszy do kodyfikacji, niż ten sprzed 10 a nawet sprzed 5 lat.

Druga przyczyna wypływa ze zróżnicowania sytuacji prawnej między pracownikami umysłowymi a fizycznymi — wyraźnie na korzyść tych pierwszych, ukształtowanej przez przepisy pochodzące z okresu międzywojennego. Zrozumiałe, iż kodeks pracy nie mógł przyjąć tego zróżnicowania, i to nie tylko ze względów politycznych, ustrojowych, lecz ze względów merytorycznych. Dziś podział zatrudnionych na pracowników fizycznych i umysłowych nie ma uzasadnienia. Jeśli zważyć, że różnice te można znieść tylko przez równanie w górę, co pociąga za sobą niejednokrotnie poważne wydatki, to staje się zrozumiałe, że kodyfikacja musiała się opóźnić. Inaczej mówiąc — kodyfikację warunkowało nagromadzenie odpowiednich środków.

Pierwszym takim aktem prawnym, który odegrał istotną rolę w zrównaniu sytuacji między pracownikami umysłowymi i robotnikami, otwierającym drogę do kodyfikacji, była ustawa urlopową z 1969 r. Ona to właśnie zniósła podział w zakresie prawa do urlopu między tymi dwiema grupami pracowników, uzależniając jego wymiar wyłącznie od długości okresu zatrudnienia oraz posiadanego wykształcenia. Dodajmy, że ustawa ta została przyjęta z zadowoleniem przez pracowników fizycznych i ze zrozumieniem przez pracowników umysłowych, z wyjątkiem, że objęła swą mocą również tych pracowników, którzy korzystali już z miesięcznego urlopu.

Jednakże zasadniczą zmianą w tej dziedzinie nastąpiła dopiero po VI Zjeździe Partii, po zmianach w zarządzaniu gospodarką i wyraźnym przyspieszeniu tempa rozwoju kraju,

co umożliwiło przeznaczenie poważniejszych środków na zwiększenie świadczeń dla pracowników fizycznych. Mam tu na myśli przede wszystkim ustawę z lipca 1972 r. o zasiłkach chorobowych. Jak wiadomo, zmieniła ona nader istotnie stan prawny w tej materii, niezależnie od wymiaru zasiłku od sposobu leczenia

KODEKS PRACY

chorego i liczby osób na utrzymaniu oraz podnosząc wydatnie jego wysokość: od lipca 1974 r. zasiłek chorobowy wynosi 100% wynagrodzenia netto. Duże znaczenie miał także fakt podniesienia, od stycznia 1972 roku, do 100% wynagrodzenia netto wysokości zasiłku za czas opieki nad dzieckiem i przedłużenia okresu jego pobierania do 2 miesięcy w roku kalendarzowym.

— Jakże są zasadnicze założenia Kodeksu pracy?



Fot. Archiwum

— Jednym z takich założeń, charakteryzujących Kodeks pracy, jest jego powszechność. Oznacza to, że Kodeks obejmuje ogół zatrudnionych niezależnie od podstawy zatrudnienia, a więc niezależnie od tego, czy pracownicy będą zatrudnieni na podstawie umowy, powołania, wyboru czy nominacji. Mówiąc o powszechności mam na uwadze i to, że Kodeks reguluje wszystkie działy, a w ich ramach podstawowe instytucje prawa pracy.

— Jaki jest podział materii między Kodeks a akty wykonawcze do Kodeksu?

— Zrozumiałe, że akty wykonawcze muszą istnieć. Kodeks nie może regulować wszystkich instytucji w sposób szczegółowy, gdyż stałby się aktem bardzo obszernym i nieczytelnym. Trzeba się też liczyć z odrębnościami pewnych grup pracowników, dziedzin pracy, jak również z tym, że prawo pracy jest bardzo zależne od ekonomiki. Stąd też pewne rozwiązania muszą być sprzyjające w takich aktach, żeby można je dostosować do właściwości zawodów, środowiska pracy i zmieniających się warunków ekonomicznych, przez co można zapewnić większą stabilizację samego kodeksu pracy.

— Czy oznacza to, że podziału tego dokonano trafnie?

— Trudno powiedzieć, że podział ten jest właściwy we wszystkich wypadkach. Kodeks zawiera ponad 50 postanowień, delegacji ustawowych, upoważniających Radę Ministrów bądź poszczególnych ministrów, do odrębnego lub szczegółowego uregulowania pewnych spraw w drodze rozporządzeń lub innych aktów wykonawczych. Już ten fakt wskazuje, że w aktach tych będzie wiele materii, że dość często pełnej odpowiedzi na pytanie trzeba będzie szukać w akcie wykonawczym do Kodeksu.

— Na przykład?

— Weźmy opinię o pracowniku. Kodeks reguluje ją dość ogólnie, przewiduje tylko, że pracownik ma prawo do opinii, określa jej zasadniczą treść, na podstawie jakiego materiału ma być sporządzona oraz tryb dochodzenia roszczeń o sprostowanie opinii i odszkodowanie. Pomija natomiast wypracowane w nauce i orzecznictwie przesłanki jakim opinia powinna odpowiadać. Znajdą się one zapewne w akcie

wykonawczym regulującym szczegółowe zasady wydawania opinii. Można by jeszcze podać inne przykłady, że „oszczędnie” formuluje się niektóre instytucje w samym Kodeksie, a zbyt wiele pozostawia do unormowania w aktach wykonawczych. Wydaje się więc, i nie bez podstaw, że będziemy mieć dość ogólny przynajmniej w niektórych działach Kodeks pracy, a zbyt szczegółowe prawo pracy.

— Czy zechciałby Pan Docent wymienić jeszcze jakieś inne podstawowe założenie, na którym oparto Kodeks pracy?

— Innym podstawowym założeniem, które wynika już w wcześniejszej wypowiedzi, jest jednolitość Kodeksu, w tym znaczeniu że likwiduje on podział między osobami wykonującymi prace wymagające w przeważającej mierze wysiłku umysłowego a osobami wykonującymi „prace fizyczne”. W Kodeksie nie występuje już terminy: pracownik umysłowy i pracownik fizyczny, czy robotnik. Jest jeden termin: pracownik. Jednolitość Kodeksu oznacza też zastosowanie do ogółu pracowników zasad jednolitych i rozwiązań podstawowych. Jednakże nie można by wprowadzić całkowitej równości ogółu zatrudnionych, choćby dlatego że byłoby to

sprzeczne z zasadą: każdemu według jego pracy. Dyferencjacja występująca w Kodeksie ma jednak charakter rzeczowy merytorycznie uzasadniony, a nie podyktowany względami formalnymi.

— Co decyduje o tym zróżnicowaniu?

— Specyficzne właściwości niektórych zawodów i potrzeby dziedzin, w których zatrudnia się pracowników. Stąd też przewiduje się regulację sytuacji niektórych grup pracowników w drodze odrębnych ustaw czy przepisów wykonawczych do Kodeksu. Różnice te mogą też wynikać z charakteru pracy. Są prace uciążliwe, szkodliwe dla zdrowia i to musi znaleźć odbicie w przepisach w postaci np. skrócenia czasu pracy, zwiększonego wymiaru urlopu wypoczynkowego czy dodatku do wynagrodzenia. O zróżnicowaniu tym decydują również właściwości dotyczące osoby pracownika. Stąd wypływa podział pracowników według płci i wieku. Są prace nie dozwolone dla kobiet, a zwłaszcza dla kobiet w ciąży, które też podlegają znacznie dalej idącej ochronie. Szczegółowej ochronie podlegają pracownicy młodociani.

— A jeśli chodzi o techniczną, językową — jeśli można tak powiedzieć — stronę Kodeksu pracy?

— Kodeks został napisany takim językiem i w taki sposób, żeby trafił do przekonania pracowników. Zamysł bez wątpienia bardzo słuszny, ale powinien on być realizowany przy zachowaniu reguł właściwych opracowywaniu aktów normatywnych, zwłaszcza aktu rangi kodeksu. Akt taki powinien m. in. być w miarę zwarty i zawierać terminy jednoznaczne. Odnoszę wrażenie, że to słuszne dążenie do zapewnienia „przeźroczystości” Kodeksu zawazyło w pewnym stopniu na jego stronie technicznej — legislacyjnej: występują powtórzenia, niektóre terminy nie są stosowane konsekwentnie — dotyczy to np. takich terminów, jak regulamin pracy, porządek pracy i dyscyplina pracy. W wielu wypadkach trudno ustalić, czy obowiązek wynikający z przepisu ma charakter prawny czy moralny. Ta ostatnia sprawa ma szczególne istotne znaczenie, gdyż kary stosuje się za naruszenie obowiązków o charakterze prawnym.

— Jakże ważniejsze zmiany wprowadza Kodeks pracy?

— Zmiany dotyczą różnych instytucji i mają różne znaczenie. Z konieczności ograniczyć się do kilku spośród zasługujących na uwagę. Inaczej, niż ma to miejsce obecnie, Kodeks pracy reguluje sprawę zwalniania pracowników za wypowiedzeniem, kładąc szczególny akcent na zasadność wypowiedzenia umowy. W braku zasadnej przyczyny pracownik będzie mógł dochodzić przywrócenia do pracy oraz wynagrodzenia za okres pozostawania bez pracy. Kodeks wprowadza przy tym powszechną kontrolę związków wypowiedzenia, z tym że ostateczną decyzję o zwolnieniu pracownika podejmuje — zgodnie z zasadą jednoosobowego kierownictwa — kierownik zakładu pracy.

W zakresie rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia na uwagę zasługują przedłużenie okresu nieobecności pracownika z powodu choroby, po upływie którego można go zwolnić z pracy. Pracownik zatrudniony w danym zakładzie co najmniej 6 miesięcy może być zwolniony dopiero po wykorzystaniu prawa do zasiłku chorobowego.

Dalsza istotna zmiana dotyczy urlopu wypoczynkowego. Według Kodeksu pracownik wypowiadający umowę o pracę nie traci prawa do urlopu bez względu na przyczynę wypowiedzenia, a okres zatrudnienia w poprzednim zakładzie pracy podlega uwzględnieniu przy ustalaniu wymiaru urlopu w nowym zakładzie, niezależnie od długości przerwy w zatrudnieniu.

Należy też zwrócić uwagę na przepisy Kodeksu dotyczące ochrony pracy kobiet. Kodeks obejmuje większą niż dotychczas ochroną kobiety przed zwolnieniem z pracy w okresie ciąży, przyznaje jej prawo przejścia do pracy dogodniejszej, z zachowaniem dotychczasowego wynagrodzenia, już od początku ciąży. W razie urodzenia więcej niż jednego dziecka, przy jednym porodzie kobieta będzie korzystać z 26-tygodniowego urlopu macierzyńskiego.

Na szczególne podkreślenie zasługują zmiany dotyczące systemu rozstrzygnięcia sporów ze stosunku pracy. Ich znaczenie polega głównie na ścisłym powiązaniu orzecznictwa rozjemczego z orzecznictwem sądowym, co nastąpiło w wyniku utworzenia okręgowych sądów pracy i ubezpieczeń społecznych, jako sądów szczególnych rozpatrujących sprawy w II instancji.

To byłyby te niektóre z ważniejszych zmian, jakie wprowadza Kodeks pracy. Interesujące z pewnością byłoby ich szersze omówienie, niestety, nie sposób wyczerpać temat w ramach jednej rozmowy. Pragnę jeszcze tylko podkreślić iż uchwalenie Kodeksu pracy zamyka pewien etap rozwoju polskiego prawa pracy i fakt ten stanowi wydarzenie dużej wagi.

— Dziękuję za rozmowę.

PRASA WIELKIEJ EMIGRACJI

Od niejakiego już czasu w historycznych badaniach nad dziejami polskiej emigracji w XIX wieku można zaobserwować charakterystyczne zjawisko. O ile dawniej, od pierwszych lat powojennych, uwagę naszych historyków niemal wyłącznie przykuwała aktywność środowiska emigracyjnej lewicy, co miało swoje uzasadnienie zarówno w konieczności przewartościowania dotychczasowych sądów, jak zwłaszcza w dążeniu do ukazania pełnego dorobku polskich nurtów lewicowych w przeszłości, tak od kilku już lat zaznacza się coraz wyraźniej dążenie badaczy do rozszerzenia kręgu podejmowanej problematyki. Wskazywano na dwa aspekty tego zjawiska: badacze emigracji nie ograniczają się już do studiów nad Wielką Emigracją, ale — przykładem choćby prace J. Borejszy — zajęli się również dziejami emigracji po Powstaniu Styczniowym, o której dotąd wiadziło bardzo mało. Historycy piszą książkę i rozprawę nie tylko o historii Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, gromad „Ludia Polskiego”, o nurcie lewicowskim itd., co zresztą nie przestaje ich nadal żywo interesować, ale coraz częściej zajmują się najróżniejszymi aspektami działalności emigracyjnej prawicy, w szczególności emigracji Hotelu Lambert. Przykładem prace I. Koberdowej, B. Konarskiej, świetna książka J. Zdrady „Zmierzch Czartoryskich” i wiele innych: dzisiaj dochodzi do nich interesujące studium Stanisława Szostkowskiego „Z Kart Wielkiej Emigracji”. Prasa obozu arystokratyczno-konserwatywnego w latach 1832-1848”, opublikowana przez niewielkie, ale bardzo ambitne wydawnictwo regionalne, miało swoje odczytanie „Pojezierze” w 1972 r. Trudno by przeczyć słuszności wyboru takiego właśnie tematu: wszak właśnie prasa, związana z Hotelu Lambert, była głównym obszarem, na którym formułowano polityczne i społeczne koncepcje emigracyjnej prawicy, silnie oddziaływanie na kraj. Oboz Czartoryskiego też, dysponując znacznie większymi możliwościami niż inne, zwłaszcza lewicowe środowiska emigracyjne (te ostatnie cierpiały na ustawiczny niedostatek środków), powołał do życia szereg obywatelskich organów prasowych, przeznaczonych dla zachodnioeuropejskiego czytelnika, mających za zadanie oddziaływanie na europejską opinię publiczną, przypomnienie o sprawie polskiej i nasświetlenie jej zgodnie z polityczną linią stronnictwa. Tego rodzaju publikacje, jak „Polonia or monthly reports of Polish Affairs” (1832), „The Polish Exile” (1833), „Le Polonais” (1833) miały duże znaczenie dla propagandy sprawy polskiej w Anglii i Francji i obywateli z tego tylko względu zasługują na baczna uwagę historyka. I jeszcze jedno: w prasie Hotelu Lambert aktywizował się liczni wybitni twórcy, którzy znaleźli się na emigracji, bynajmniej nie tylko rzecznicy społecznej prawicy, lecz także umiarkowani liberalowie. W ogóle określenie obozu Czartoryskiego mianem „arystokratyczno-konserwatywnego”, zgodnie z tradycją publicystyki lewicowej, w szczególności Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, wydaje się nieuzasadnione. Jak słusznie zauważył Ludwik Kulczycki w swych nie drukowanych pamiętnikach, nie chodzi tu — a przynajmniej nie zawsze chodzi — o orientację arystokratyczno-konserwatywną w rodzaju reakcyjnych środowisk krajowych, takich jak np. krąg Henryka Rzewuskiego. Ostatecznie kamieniem węgielnym ideologii Hotelu Lambert było uznanie Konstytucji 3 maja za podstawę, na której można i należy budować przyszłą odrodzoną Polskę, być może jednak wówczas i takimi kółka, które wdrygały się na samą myśl o konstytucji majowej i deklarowały swoje sympatie dla... neosarmatyzmu, dla szlacheckiego tradycjonalizmu z dawnych czasów!

Nie miejsce tu oczywista na szczegółowe dyskusowanie tej jakże interesującej książki. Moim zdaniem najciekawsze, i jednocześnie dostarczające najwięcej nowych informacji i ocen, są te partie rozważań S. Szostkowskiego, które dotyczą ideologii obozu Czartoryskiego, zarówno oceny przeszłości narodowej, jak sposobów odzyskania niepodległości, czy wreszcie kształtu przyszłej Polski oraz oddziaływanie prasy Hotelu Lambert nie tylko na emigrację, lecz zwłaszcza na kraj. Publikacje emigracyjne docierały do Polski, były tu czytowane, oddziaływały na umysły mimo wszystkich drastycznych przeszkód ze strony władz zaborczych. Prasa obozu Czartoryskiego miała tu łatwiejszą drogę niż publikacje obozu liberalnej demokracji, które również docierały do krajowego czytelnika, choć na pewno w mniejszym zakresie. Czy na pewno? Wszelkie dane ilościowe są tak znikome że podstawa naszych twierdzeń ogólnych jest nadzwyczaj wąska. W każdym razie ostatnie badania m.in. nad dziejami spisku Ślesieńskiego, zwłaszcza te, które podjął radziecki historyk W. Diakow, ukazały niewiarygodnie krajowe echa publikacji środowisk radykalnej lewicy emigracyjnej, nie tylko Towarzystwa Demokratycznego, lecz i angielskich „gromad”.

„Stojąca pozornie na uboczu od wszelkich polemik i sporów emigracyjnej prasa konserwatywno-liberalistyczna, promująca hasła społeczne prawicy usiłowała je dostosować do potrzeb powstałego na ziemiach polskich układu kapitalistycznego. Ponieważ jej programem było stworzenie na emigracji ponaodpartej platformy wymiany poglądów, dopuszczała także wywołanie krzykielnicze pozycywna arystokracji. Pisma o silnie zaznaczonym charakterze utramontaisko-monarchistycznym (...) lansowały ponadto idee katolicka jako jedynę lekarstwo na wszystkie schorzenia społeczne i polityczne narodu”. Taki był — jak tego dowodzi S. Szostkowski — ogólny, zróżnicowany kształt publikacji prasowych Hotelu Lambert.

Nie pierwszy to raz wydawnictwo „Pojezierze” dało nam do ręki cenną książkę, dotyczącą problematyki dość wykręcającej poza regionalną pisalernię, już o ogłoszonej przez tę samą oficynę arcyciekawej książce o K. L. Szymie, również dotyczącej tematyki emigracyjnej. Publikacja S. Szostkowskiego dołącza do tamtej i innych książek, jako nowa, wartościowa porcja. Zawarte nie jest wina autora, że nie wykorzystwał w swych badaniach bezcenne zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu a onarł się wyłącznie o zbiorze krakowskie. Cóż, nie każdy jeszcze może jeździć za granicę w celach naukowo-badawczych.

LEKTOR

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

— Daj mi jeszcze wódki — powiedziałem ostrożnie i postanowiłem przeżyć do rana, było to, jeżeli się ma nieczyste sumienie, sprawą najproszą. — Czy myślisz sobie nie okamywać? — spytała Natasza. — Czy tego nie czyni każdy? — rzekłem, uszczęśliwiony, że widzę wyście. — Tęgo nie wiem. Ciągłe o tym zapominać. — Ciągłe? Tak często to się zdarza? — Tęgo też nie wiem. Nie jest się przecież maszyną do liczenia, ty może, ja nie. — Jestem w wannie, Nataszo. Nie jest to szczęśliwa pozycja, zavrzyjmy pokój.

— Pokój — odpowiedziała szyderczo. — Komu się chce już pokój? — Sięgnąłem po ręcznik i wstałem. Gdybym przewidział, na co się zanosi, unikałbym wanny jak cholery. Natasza wzdrygnęła się, niebezpieczną mieszaniną żartu i prawdy, widziałem to po jej oczach, szybkich ruchach, po jej nagle jaśniejszym głosie. Musiałem uważać. Przede wszystkim dlatego, że mi a raczej. Sądziłem, że znalazłem się w ofensywie, wysuwając jako argument Mrs. Whympers i naraz stwierdziłem, że wszystko wzięło inny obrót. — Wspaniała suknia — rzekłem. — A ja chciałem cię wrzucić w niej do wanny!

— Dlaczego tego nie zrobiłeś? — Woda była za gorąca, a wanna za wąska. — Dlaczego ubierasz się znowu? — zauważyła Natasza. — Jest za zimno. — Możemy wyłączyć dopływ powietrza. — Już dobrze. Byłoby dla ciebie za gorąco.

Przejrzała mi się nieufnie. — Chcesz uciekać, ty chórzu? — spytała. — Po co? Nie wyrzekę się przecież salami i sera edamskiego.

Ogarnęła ją wściekłość. — Idź do diabła! — krzyknęła. — Przepadnij w twojej przekletej hotelowej dziurze! Tam twoje miejsce!

Trzęsła się ze złości. Uniósłem ramię, by złapać popielniczkę, gdyby chciała nią cisnąć. Byłem przekonany, że trafiłaby oierwszorędnie. Wyglądała bajecznie. Wściekłość nie zeszpeciła jej, uczyniła jeszcze niekniejsza. Trzęsła się nie tylko z gniewu, trzęsła się z nadmiaru życia. Chciałem ją wziąć w ramiona, ale coś mnie ostrzegło: Nie czyj tego! Nawiedziło mnie ośnienie, że na nie by się to nie zdało. Problem przesuwał się tylko, ale nie zniknął, a ja utraciłabym ważny emocjonalny argument na przyszłość. Ucieczka była najrozsądniejszą wyjściem. To była moja ostatnia szansa. — Jak sobie chcesz? — powiedziałem, podszedłem szybko do drzwi i zniknąłem.

Musiałem czekać na winde. Nasłuchiwałem. Nie usłyszałem nic. Może spodziewała się, że wróce.

5.

U Lowy Brothersa w witrynie jaśniało rzeźbię światła francuskiego mosiężnego liehtarza, o białych kwiatkach z porcelany z wczesnego okresu dziewiętnastego stulecia. Zatrzymałem się tu ponownie i oglądałem wystawione

fony. Powlokłem się dalej obok niebale oświetlonych „hamburskich bud”, w których przy długim barze serwowano smażone siekane mięso i kielbaski z coca-cola, albo sokiem pomarańczowym, coś, do czego dotychczas nie mogłem się przyzwyczaić. Na szczęście tego wieczoru Melikow pełnił służbę portiera nocnego.

— Chandra? — spytał. — Skinałem głowę. — Widać to po mnie? — Na miłe, Cheesz się czegoś napić? Pokręciłem głowę. — Jestem w pierwszym stadium, alkohol jeszcze bardziej pogarsza ten stan.

— Co to znaczy, pierwsze stadium? — Kiedy zdaje się sobie sprawę, że się zachowało źle, bez poczucia humoru, głupio. — Myślałem, że masz to już za sobą. — Okazuje się, że nie.

— A kiedy następuje drugie stadium? — Kiedy dojdzie do wniosku, że dla mnie już wszystko skończono. Z moją winy.

— Tak, zapominasz szybko? Czy dlatego jęczalesz miesiącami?

— Naturalnie! Zapomina się szybko, jeżeli się wyczyści wszystko, do ostatka.

— Jak kanalarz?

— Nie chodzi o określenie. Niezego nie osiągnąłem. Oszukali mnie, ten Meksykanin i donna z Porto Rico.

— Nikt cię nie oszukał. Nie osiągnąłeś tylko tego, co zamierzałeś osiągnąć. To jest różnica.

— Po dziesiątej wieczorem nie dostrzegam takich różnic.

— Jesteś bardzo wesół — stwierdziłem nie bez lekkiej zawisłości. — Wydaje się, że rzeczywiście wszystko ci szybko przechodzi.

— Odkryłem klejnot — szepnął Lachmann. — Nie chce jeszcze o tym mówić. Klejnot bez Meksykanina.

ERICH MARIA REMARQUE

CIEŃ W RAJU

(FRAGMENTY)

— Jak się zapamiętasz przynajmniej na kufel piwa? Usiadł sobie w puszczywnym fotelu i próbuj to zwalczyć.

— Dobrze.

Pogrzeżyłem się w myślach. Melikow tymczasem przyholował do hotelu kilka butelek wody mineralnej, a potem whisky.

— Dobry wieczór — odezwał się ktoś za mną.

Lachmann! Chciałem wstać i uciekać. — Jeszcze mi tylko ciebie brakowało — rzekłem.

Zmusił mnie swym błaganiem do pozostania na miejscu.

— Nie będę się przed tobą użalał — szepnął. — Moje nieszczęście już się skończyło. Chce się cieszyć!

— Masz wreszcie ją, ty hieno cmentarna?

— Kogo?

— Podniosłem głowę.

— Kogo? Cały hotel trząsł się od dwóch miłosnych jeremiad, lampy drżały, a ty masz czelność pytać: kogo?

— Mam to już poza sobą — wyjaśnił Lachmann. — Szybko zapominam.

Przejrzałem mu się z zainteresowaniem.

Melikow dał znak zza kontuaru.

— Telefon, Robercie.

— Kto?

— Natasza.

Podniosłem słuchawkę.

— Gdzie jesteś? — spytała Natasza.

— Na spotkaniu u Silvers.

— Nonsens! Pijesz z Melikowem wódki.

— Leżę na kłęczkach przed puszczywnym fotelom, uwielbiam cię i przeklinam swój los. Jestem zdruzgotany.

Natasza śmiała się.

— Przyjdź, Robercie.

— Z bronia.

— Bez broni, ty głupcze! Nie możesz mnie zostawić tak samej, to wszystko.

Wyszedłem na ulicę. Spoczywała ślniaca w późnym blasku nocy, bardzo spokojna, na przekór wszystkim tajfunom, pełna nastroju, marzeń i głębokiej zadumy. Nigdy nie wydawała mi się piękną, teraz prawie nią była.

— Czytałeś nie umie baran po niemiecku i przyjeżdża do Berlina. — Za chwilę podszedł do kiosku, skąd doleciały do nas słowa.

— Bitte eine widokówka, znaczek pocztowy i cygarety. — Dalsza rozmowa kontynuowała już przy pomocy rąk.

Do odjazdu pociągu pozostaje jeszcze około 45 minut, na wszelki wypadek wychodzimy jednak wcześniej na peron... i nie wierzymy oczom. Pociąg już stoi, ale o wejściu do wagonu (mimo iż posiadamy miejscówki) trudno marzyć. Przed każdym wejściem potężna kolejka tłoczących się ludzi. Usiłujemy odnaleźć nasz wagon, okazuje się jednak, że niemiecka obsługa nie zdołała jeszcze wywieścić tabliczek z numerami. Zaczynam się zastanawiać, skąd u diabła ci wszyscy w wagonach wiedzą, gdzie są ich miejsca. Na chybili trafił pytam wyglądającego przez okno mężczyznę o numer wagonu.

— Panie, stoisz pan przed wagonem i pytasz pan mnie o numer, a poza tym — dodał z miną światowca — tu każdy ślady, gdzie jest wolne miejsce, bo inaczej będziesz stał całą drogę. Wiadomo — polski pociąg.

— No dobrze — pytam dalej — a gdzie mają usiąść ci, którzy posiadają miejscówki?

— Panie, z choinki się pan urwałes, wchodź pan do pociągu, bo będziesz nocował w Berlinie. — Argument ten trafił mi do przekonania i już miałem wcisnąć się do pierwszego lepszego wagonu, gdy tymczasem wywieziono na nich numery.

Oszukaliśmy więc własny i z trudem wtłoczyliśmy się do korytarza. Przepychając się wśród przeklinających nas pasażerów, dotarliśmy do właściwego przedziału, który oczywiście był cały już zajęty, łącznie z półkami przypominającymi wystawę domu towarowego. Pokazujemy miejscówki. Złoty alkohol osobnik początkowo bierze nas „na strach”, ale widząc, że nie dajemy za wygraną, niechętnie opuszcza przedział wraz z towarzyszącą mu pa-

— Zostanę dziś na noc tutaj — rzekłem do Nataszy. — Nie wrócę do hotelu. Chce spać obok ciebie i zbudzić się razem z tobą. Przynieś od Sterna Brothersa chleb, mleko i jajka. Po raz pierwszy zbudzimy się razem. Sądząc, że nasze nieporozumienia wynikają z tego, że nie wystarczająco długo przeżyliśmy razem. Musimy przede wszystkim znowu przyzwyczaić się do siebie.

Natasza przeciągnęła się.

— Zawsze mi się wydawało, że życie jest za długie, by ciągle być razem.

Roześmiałem się.

— Coś jest w tym na pewno. — rzekłem. — Nigdy nie miałem sposobności, by to wypróbować. W życiu, które ja znam, martwiłem się stale, o to, że jest za krótkie.

— Mam takie uczucie, jakbyśmy się znajdowali w jakimś balonie — ciągnąłem. — Nie w samolocie, lecz właśnie w jakimś cichym balonie, balonie Montgolfiera z początku dziewiętnastego wieku, wystarczająco wysoko, by nie nie słyszeć, ale by jeszcze wszystko widzieć: ulice, samochody, jak zabawki i sznury światła miasta. Niech będzie błogosławiony ten anonimowy dobroczyńca, który kazał tu wstawić to szerokie łóżko, to łóżko i naprzeciwko na ścianie lustro, w którym widzę twoje magiczne powtórzenie, kiedy przechodzisz przez pokój — para bliźniaczek, z których jedna jest pozbawiona głosu. — Ta pozbawiona głosu jest wygodniejsza, co?

— Nie.

Natasza odwróciła się.

— To była słusna odpowiedź.

— Jesteś bardzo piękna — powiedziałem. — Zwykle patrzę najpierw na nogi kobiety, potem na tyłek i w końcu na twarz. Z tobą było odwrotnie. U ciebie była najpierw twarz, potem nogi i dopiero kiedy byłem już zakochany, zacząłem przemysłować o tyłku. Byłaś wysmukła i mogło się zdawać, że byłaś zagłozona, koścista modelką o plastikiej, siodłowanej pupie. To mnie trafiło.

— Kiedy zauważyłeś, że tak nie jest.

— Nie za późno. Istnieją proste sposoby, by to rozpoznać. Dziwnie, że tak długo trwało, zanim mnie to zainteresowało.

— Opowiedz mi więcej.

Natasza leżała leniwie na kocu, mruczając niby duża kotka i lakierowała sobie pedzelkiem paznokcie u nog.

— Nie możesz mnie teraz gwałcić — powiedziałem. — Lakier musi wyschnąć, inaczej pokleilielibyśmy się wszędzie. Mów dalej.

— Zawsze przypuszczałem, że lecę na kobiety opalone — rzekłem. — Istoty, które latem przez całe dni pluskają się w wodzie i wylegają na słońcu. Masz w sobie wiele z księżycy, również w przezroczyście, szarych oczach, pomijając oczywiście twój kłótny temperament. Jesteś nimfa, rzadko się tak myliłem jak w stosunku do ciebie. Tam, gdzie ty jesteś, wlatują rakiety, sztuczne ognie, armatnie pociski, i co godne uwagi, są bezgłośne.

LEKTURA NA WAKACJE

— Opowiadaj Jeszcze. Cheesz się czegoś napić?

Pokręciłem przecząco głową.

— Często w życiu nie oddawałem się całkowicie moim emocjom, odbierałem je nie en face, lecz z profilu. Godziły we mnie niepełne. Ześlizgiwały się ze mnie. Nie miałem pojęcia dlatego. Może to był strach, może kompleks. Z tobą jest inaczej. Przy tobie nie mam żadnych skrupułów. Wszystko jest wolne jak wiatr. Cudownie jest cię kochać, i również cudownie po miłości być z tobą razem, tak jak teraz. Z wieloma kobietami jest to niemożliwe; nawet się nie chce. Z tobą nigdy się nie wie, co jest bardziej cudowne. Kiedy ciebie kocham, myślę, że nie ma nic pełniejszego, i kiedy potem odprężony zupełnie leżę obok ciebie na łóżku, jestem przekonany, że kocham cię jeszcze bardziej.

— Moje paznokcie są już prawie suche — rzekła Natasza. — Proszę, mów dalej.

Spojrzałem na pokój pogrążony w półmroku.

— Cudowne jest zbliżenie z tobą i wiara, że jest się nieśmiertelnym. Przez chwilę wierzy się w to tak mocno, jakby mogło tak być rzeczywiście i dlatego wykrzykujemy do siebie słowa, by odczuć to jeszcze głębiej, zbliżyć się jeszcze bardziej, zwykle, prymitywne, wulgarnie słowa, by jeszcze intensywniej przenikać w siebie nawzajem, by nawet ten milimetrový dystans, który nas dzieli, pokonać, słowa, jakich używają kierowcy ciężarów, albo rzeźnicy, słowa jak bicie, po to tylko, by ciśnieć, głębiej wejść jedno w drugie.

Natasza wyciągnęła nogę i przyglądała się jej. Potem znowu przechyliła się do tyłu.

— Kochanie, z samym tylko wymuskany pyszczkiem kochać się nie można.

Roześmiałem się.

— Kto wie to lepiej, niż my, romantycy! Ach, o lotny puchu oszalamiających słów! To nie z tobą. Z tobą nie ma potrzeby kłamać.

— Przecież kłamiesz całkiem ładnie — rzekła Natasza sennie. — Nie znikasz dziesięć nocy?

— Tylko razem z tobą.

— Dobrze.

W kilka minut później usnęła. Ona mogła tak. Okryłem ją. Długo nie spałem, słuchałem oddechu Nataszy i zastanawiałem się nad wieloma sprawami.

(c.d.n.)

Przełożył:

ALEKSANDER MATUSZYŃ

STANISŁAW BĄKOWICZ

POWRÓT

Byłem wśród uroczych jezior Meklenburgi i na wybrzeżu NRD. Jednakże najmocniej zapisała się w mojej pamięci powrotna podróż od naszych zachodnich sąsiadów. Pierwsze emocje zaczęły się już na berlińskim dworcu Lichtenberg, na który przyjechałem ze Schwerina. Oczekując na miejską kolejkę elektryczną (S-Bahn), przypadkowo spojrzałem na dwóch sympatycznie wyglądających młodych ludzi. U jednego z nich dostrzegłem w torbie polską gazetę. Znużonym wzrokiem otkasowałem moją współtowarzyszkę podróży i trochę się ożywił.

— Nareszcie jakaś fajna dziewczyna! — stwierdził autoritatywnie szczerzy brunet w okularach. Ciepło zrobiło mi się koło serca. Z siedem lat po ślubie moja partnerka życiowa robiła takie wrażenie.

— Ale stoi przy niej jakiś koleś — dodał drugi, mocno uwłosiony. Teraz już nie wytrzymałem i wstałem.

— Jak to, młody usłyszeć na obywatel piękna polską mowę. — Na takie dicitum zamienił się obywatel w słup soli, ale za moment odzyskał fason.

— Przepaszamy państwa, ale nie przypuszczaliśmy, że jesteście Polakami. Rodacy kreca się zwykle w pobliżu Alexanderplatz i dworca Ost-Bahnhof, tutaj trudno coś kupić — zakończył z rozbrajającą szczerością i wskoczył do

odjeżdżającej kolejki. Tak więc pierwsze — po kilku dniach wojażowania po NRD — spotkanie z Polonusami okazało się wyjątkowo „młode”, a zarazem kształcające. Kierując się ich sprężynami udaliśmy się bowiem do wielkiego domu handlowego na Alexanderplatz. A tu atmosfera „jak w łódzkiej „Centralu” po przywiezieniu modnych koszuł w kratę. Rozgorączkowany jednodniowi „turyści” z Polski wykupują za ostatnie marki, co się tylko da było zdążyć na wieczorny pociąg do Warszawy.

Na dworcu Ost-Bahnhof znowu tłum Polaków. Obladowani ogromnymi paczkami i walizkami okupują poczekalnie i bufety. Co chwila „leci” duże jasne. Wielu już na dobrym rauszu — tutaj się piwko robi jednak swoje — zachowują się wyzywająco. W powietrzu krzyżują się niewybredne „wiazanki”. Przekonani, że nikt ich nie rozumie, używają ile wlezie, nie dostrzegając, że przysłuchują się im również polskie dzieci przybyłe z rodzicami i pedagogami na wyłeczeki do stolicy NRD.

W pobliżu przechodzą bazyły jesteśmy świadkami scenki rodzajowej. Do dwóch chwilejących się i dźwięniących ogromne pudło tekturowe mężczyzna podchodził trzeci i pyta:

— Panowie, co kupiliście ciekawego?

— Składany fortepian — odburknął niegrzecznie jeden z nich, a drugi do-

Dalszy ciąg ze str. 1

muzyki do „Marsza” z 1943 roku, nie zostaną uwiecznione sukcesem. A jednak kilka niesięcy temu uzyskałem wiadomość od prof. Mieczysława Drobniera z Krakowa, (który podczas wojny był oficerem III Dywizji Piechoty WP im. Romualda Traugutta, a po wojnie przez wiele lat działał również w Łodzi jako kierownik artystyczny Opery, kierownik muzyczny Rozgłośni „Polskiego Radia” i profesor PWSM), że Aleksandra Barchacza należy szukać w Warszawie. Mieszkał tam przed przejściem na emeryturę, prawdopodobnie przy Placu Konstytucji. Był wówczas po kolejnym zawale serca, ale co się z nim dzieje obecnie, profesor nie bardzo wiedział.

Pojechałem do Warszawy i oto niebawem, po krótkich stosunkowo poszukiwaniach, wspinałem się na piętro jednego z potężnych bloków. Nie spodziewałem się zupełnie, że Aleksander Barchacz, na moje słowa „iż przyjechałem z Łodzi”, powie:

— A co tam słycać w moim mie-

łódzkiej szkole muzycznej i spróbuje swych sił na stołecznych estradach. Lecz w Warszawie aż tłoczno było od takich, jak on, początkujących. Więc zarabiał różnie, nie zawsze jako muzyk i odkładał pieniądze na Paryż. Po dwóch latach zrealizował plany. Pojechał do Francji. Został studentem... politechniki. Marzenia o karierze muzycznej nie dawały mu jednak spokoju. Pewnego dnia, nieśmielony, stanął przed francuską kompozytorką, znakomitym pedagogiem, Nadią Boulanger i poprosił o przyjęcie w poczet jej uczniów. Politechnika poszła na plan dalszy, pochłonięta go uparta, nie zawsze łatwa, nauka w konserwatorium.

Z absolutorium w kieszeni wrócił do Warszawy i przeżył pierwsze rozczarowania. Debiut nie był taki prosty.

— Trzeba było zarabiać na chleb różnymi innymi sposobami. A poza tym, jeszcze we Francji, zetknąłem się z młodzieżą komunistyczną, współdziałałem z nią, no i opinia lewicowca przyszła za mną do Warszawy. Należałem od 1930 roku do KPP, a to

teatrzyku kukielkowego, prowadzonego przez Bronisława Broka, autora wielu popularnych powojennych piosenek.

Różne okoliczności towarzyszyły powstawaniu jego piosenek. Np. marzem „Czym dawne są troski” miał się zaczynać wodewil pióra Leona Pasternaka pt. „Bal u saperów czyli porucznik balamut”. Pasternak przyniósł na kwajerę kilka tekstów, w tym również piosenki „Zakochałem się w kapralu”, „Fizylierki”, „Piosenka o kucharzu”, „Piosenka o szefie” oraz „Marsz” i powiedział:

— Muszę to mieć „na wczoraj”...

Było to na początku czerwca 1944 roku, zaś występ teatru miał się odbyć pod koniec miesiąca, na froncie. Czas więc naglił. Aleksander Barchacz pisał przeto muzykę, jak się to mówi, dzień i noc. Spektakl nie doszedł jednak do skutku. Próby były już w końcowej fazie, aktorzy prawie gotowi do występu, scenografia i strona muzyczna zapięta na ostatni guzik i raptem... 23 czerwca ruszyła ofensywa, i Armia przeszła do natarcia, zaczął się „Inny bal” niż ten, który sugerował tytuł wodewilu. Ale piosenki napisane przez L. Pasternaka i skomponowane przez A. Barchacza nie przepadły. 3 lipca 1944 roku, w wolnym Łucku, Teatr I Armii WP zaprezentował swój pierwszy program na polskiej ziemi pt. „Z pieśnią do kraju”. Spiewano wtedy również piosenki o fizylierkach, dzielnych „Platerówkach”:

Dziewczę śliczną, choć pyzate,
Z przewieszonym automatem,
Ciągła zerka do lusterka,
Maszeruje raz, dwa, trzy!
Nikt się zbliżyć nie osmieli,
Wyceluje, oczkiem strzeli...

Najwcześniejszą kompozycją A. Barchacza był jednak „Marsz Pierwszego Korpusu”. Na dzień 15 października 1943 roku została wyznaczona premiera programu Teatru Żołnierza I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Teatr ten powstał w miejsce dawnego Teatru I Dywizji. Autorem programu pt. „Lawka w Łazienkach” był poeta Adam Ważyk. Brakowało jedynie pieśni końcowej. Zgodnie z ustaleniami Wydziału Politycznego powinna była ona mieć charakter hymnu, tak aby mogła się stać własnością całego Korpusu, podobnie jak „Oka” stała się pieśnią całej I Dywizji. Wówczas Aleksander Barchacz podsunął Adamowi Ważykowi melodię, którą napisał jeszcze w sierpniu 1943 roku i nazwał ten swój utwór „Marszem Aliantów”. Poeta nie miał „zielonego pojęcia” o nutach i ich czytaniu, nigdy nie pisał tekstów do gotowej muzyki. Więc Barchacz grał i nużył melodię na przemian, Ważyk zaś usiłował uchwycić rytmikę, frazy muzyczne i dostosować do nich słowa. No i udało się. Pieśń nazwano początkowo „Hymnem I Korpusu”. I chociaż niebawem spiewano go całe wojsko, nikt wtedy nie przypuszczał, że przetrwa on czas wojny i jako „Marsz Pierwszego Korpusu” zyska trwale miejsce wśród Pieśni Niepodległej.

Będzie Wielka Rzecz,
Pospolita Rzecz,
Poległa wyrosnie z nas
Na pochwałę wsi,
Na pochwałę miast,
Na spotkanie diuom
Szkłany stanie dom!
Ruszał Pierwszy Korpus nasz,
Po tę Wielką Rzecz,
Na zachód marsz!

Kiedy razem z wojskiem śpiewającym pieśni jego kompozycji, wkroczył Aleksander Barchacz do wolnego Lublina, marzenia o dalszej karierze kompozytorskiej trzeba było odłożyć na plan dalszy. Na oficera I Armii czekała robota polityczna. Przez jakiś czas pełnił więc funkcję jednego z dyrektorów departamentu szkolnictwa artystycznego w Ministerstwie Kultury i Sztuki, potem wyznaczono go na stanowisko starosty na Ziemiach Odzyskanych.

— Utrwalimy władzę ludową, to wrócisz do swojej muzyki — mówiono mu. Ale powrót już nie był taki prosty. W 1947 roku przyszedł pierwszy zawal; leżenie w szpitalu, długotrwała kuracja, a potem wyjazd do Bulgarii, na placówkę. Wydawało się, że czarnomorski klimat powstrzyma rozwijającą się chorobę. Ale serce nadal dokuczało. No cóż, wojna u wielu zostawiła trwałe ślady. Nie pieściła człowieka, nie oszczędzała. Po pięciu latach wrócił do Warszawy. Mógł teraz zabrać się do pisania muzyki. Skomponował kilka piosenek m. in. „Kraj młodości” do tekstu Tadeusza Urgacza oraz „By na naszej ulicy” ze słowami Mirosława Lebkowskiego, ale na większe utwory brakowało już sił. Znowu serce dało znać o sobie. Po powrocie ze szpitala postanowił przejść na emeryturę.

— Muszę koniecznie odpocząć, powiedziałem sobie. No i odpoczywam, jak pan widzi. Czasem piszę muzykę, lecz raczej dla siebie. I takie jest zakończenie mojego, zwyczajnego życiorysu.

Kiedy się żegnałem z Aleksandrem Barchaczem powiedział mi:

— Proszę nie zapomnieć poklonić się memu rodzinnemu miastu i łodzianom w moim imieniu, bo obojętnie zrobił tego nie mogę. Rzadko wychodzę z domu...

Niech tym pozdrowieniem dla Łodzi będzie właśnie reportaż o nieznanym, a może tylko zapomnianym łodzianinie, którego pieśń żyje już ponad 30 lat jako jedna z nastawniejszych żołnierskich pieśni II wojny światowej.

TADEUSZ SZEWEA

„SPOZA GÓR I RZEK”

ście? Chętnie zajrzałbym w stare kąty, lecz zdrowie nie pozwala nawet na tak krótką podróż.

I zaraz zaspalał mnie mnóstwem pytań w rodzaju:

— Czy ulica Andrzeja jest taka sama jak przed wojną?

— Czy stoi ten dom, w którym urodził się Julian Tuwim?

— Co się mieści w gmachu, w którym było prywatne gimnazjum Bogumiła Brauna? (Aleksander Barchacz jest absolwentem tej szkoły).

Przyznaję, że nie na wszystkie pytania umiałem odpowiedzieć. Nie znam Łodzi przedwojennej, a ta „powojenna” zmienia się nam w oczach. Ale zapewnili mnie pana Aleksandra solennie, że dom przy ulicy Andrzeja Struga, w którym urodził się i mieszkał Julian Tuwim, stoi nie naruszony, a bramę ozdabia pamiątkowa tabliczka ku czci autora „Kwiatów polskich”.

— Do dzisiaj nie pozbyłem się pragnienia znalezienia się, chociaż na moment, w tym domu — powiedział kompozytor. — Chciałoby się zajrzeć na podwórko, wejść w bramę oficyn, zapukać do drzwi mieszkania moich rodziców, chociaż wiem, że tam nikt z moich bliskich nie zastane. Ale nie udawało się dotąd i chyba już się nie uda. Myślałem, że jak wojna się skończy, pojedę z innymi... Niestety, obowiązki wojskowe zatrzymały mnie najpierw w Lublinie, potem już w Warszawie, a po demobilizacji w 1947 roku pojechałem za granicę na placówkę. Później dokuczało coraz bardziej serce, no i tak już zostałem w Warszawie...

Mówiąc to Aleksander Barchacz podszedł do półki bibliotecznej i wyjął kilka książek Juliana Tuwima. Na wszystkich — dedykacje autora. Czytam tę, która widnieje na

nie ułatwiał życia — wspomina pan Aleksander Barchacz.

Mimo trudności nie rezygnował. Podjął studia w Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina. Był uczniem Józefa Smidowicza w klasie fortepianu i Adama Wieniawskiego w klasie kompozycji. W tym czasie los znowu zetknął go z Julianem Tuwimem. Dawna przyjaźń chłopców z jednego łódzkiego podwórka odżyła. Tuwim zarekomendował Aleksandra w dyrekcji teatrzyku „Qui pro Quo”. Z drobnych prób kompozytorskich nie można było wprawdzie wyżyć (pisał dla duetu pianistów — Leona Boruńskiego i Karola Gimplia), ale początek został zrobiony.

— Niestety, wszystko to trwało bardzo krótko. Wybuchła wojna!

Aleksander Barchacz, podobnie jak inni komuniści, uchodził przed hitlerowcami na wschód. Losy zawiodły go do Alma Ata, później do Uralska, stolicy Zachodniego Kazachstanu. W owym czasie koncentrowało się tam muzyczne życie Związku Radzieckiego, w mieście przebywało wielu wybitnych kompozytorów i pedagogów. Dzięki nim otrzymał pracę w Kazachstańskim Teatrze. Opracowywał ilustracje muzyczne do sztuk, powierzano mu instrumentowanie pieśni i tańców kazachstańskich i nawet mówiono z uznaniem o jego możliwościach muzycznych. Wtedy spróbował swoich sił w komponowaniu piosenek wojskowych dla radzieckich jednostek formowanych z Kazachów.

— Wie pan, to dziwne — wyznaje pan Aleksander — ale było mi bardzo radośnie, gdy słuchałem jak żołnierze śpiewają te moje piosenki. Było mi radośnie, chociaż zdawałem sobie sprawę, że maszerują oni na front...

Na pracy w Uralsku mijaly tygodnie, miesiące, lata. I oto nagle nadeszła do miasta wiadomość o formowaniu I Dywizji Wojska Polskiego. Aleksander Barchacz wraz z innymi, tu zamieszkałymi rodakami, ruszył niezwłocznie do Sיעle na Okę. Tak się jakoś złożyło, że pierwszym na którego trafił, był major Włodzimierz Sokorski, wówczas zastępca dowódy I Dywizji do spraw oświatowych. Pokazał mu dokumenty z Kazachskiego Teatru i ze Związku Kompozytorów Radzieckich tej republiki.

— Nareszcie — powiedział Sokorski. I Barchacz odmaszerował do Wydziału Politycznego z nominacją na starszego instruktora do spraw artystycznych. Tam zetknął się z poetą Leonem Pasternakiem, który w randze porucznika kierował powstającym Teatrem WP tzw. Teatrzykiem z Tęczą.

— Niech pan nie myśli, że od razu kazano mi komponować marsze — mówi pan Aleksander. — Na kompozycje oryginalne nie było wtedy czasu. Wojsko chciało już śpiewać i musiało śpiewać. Więc Leon Pasternak nie nie robił innego, tylko pisał bez przerwy nowe słowa do starych melodii, najczęściej wojskowych i trzeba przyznać, robił to doskonale. Kiedy podczas przysięgi zaśpiewano jego „Oke”, to proszę mi wierzyć, gardła mieliśmy ściśnięte, a lzy na siłę pchały się do oczu.

Życie starszego instruktora do spraw artystycznych, w okresie kiedy formowała się Dywizja, nie należało do rozkosznych. Aleksander Barchacz wspomina, że usiłował mimo wszystko coś tam komponować, najczęściej w nocy, lecz po całym dniu harówki potrzeba mocnego żołnierskiego snu brała górę nad artystą. Jeżeli nie było alarmów szło się po prostu spać.

A jednak Barchacz ma za sobą poważny dorobek: wspomniany już „Marsz Pierwszego Korpusu”, opracowanie muzyczne wodewilów „Bal u saperów” i „Lawka w Łazienkach” oraz spektaklu poświęconego T. Kościuszce pt. „Sukmana”, piosenki „Zakochałem się w kapralu”, „Fizylierki”, „Pieśń o generale” i popularny do dzisiaj marsz „Czym dawne są troski, cierpienia co znacza”, w większości do tekstów Leona Pasternaka. Lecz nim wreszcie znalazł czas na działalność artystyczną, zgodną z przydziałem i mógł komponować te pieśni, musiał jeszcze przygotowywać oprawy muzyczne dla wojskowego

LATO i DZIECI



Fot. Archiwum

tytułowej karcie „Lokomotywy”, a którą poeta wpisał Olkowi „z tego samego łódzkiego podwórka”. Często po wojnie spotykali się obaj w Warszawie i wspominali, jak to ongiś było na tym podwórku przy ulicy Andrzeja.

Aleksander Barchacz urodził się 28 stycznia 1908 roku w tym samym domu co wielki poeta. Matki się przyjaźnili, stąd i kontakty obu chłopców, serdeczne, przyjacielskie. Potem ich drogi rozeszły się, Tuwim był o kilka lat starszy, zdobywał już wówczas sławę, znała go Łódź, Warszawa, Polska, Barchacz zaczynał dopiero naukę w prywatnym gimnazjum Bogumiła Brauna. Jednocześnie uczęszczał do szkoły muzycznej Türnera. Marzył o zawodzie pianisty, grał na fortepianie niezłe, w rodzinie rokowano mu przyszłość. Gdy odbierał świadectwo dojrzałości był już zdecydowany. Pojeździe do Warszawy, uzupełni to, czego nie nauczono go w

Zdjęcia wykonał WŁODZIMIERZ PARYS

pracy, więc z pewnym niezadowoleniem, że ją opóźniam, że zatrzymuję, każe wracać myślami do kogoś, kogo nie ma, kto odszedł, odpowiedziała: Langewicz? Jadwiga? kierowniczka szkoły? nauczycielka? była taka, tak, ale dlaczego pani o nią pyta, przecież nie żyje, jest tylu młodych nauczycieli — i w tym momencie uśmiech rozjaśnił jej twarz, ciepły, prawie macierzyński, i jeszcze raz powtórzyła z wyrzutem: teraz są młodzi; lecz mnie ta zbywająca odpowiedź zabolała, dotknęła osobliście, chociaż nie znalazłam Jadwigi Langewicz, nauczycielki, kierowniczki szkoły w Dmosinie, jednej z tych, o których były inspektor Wydziału Oświaty w Brzezinach, Stanisław Kuras mówi, że na własnych plecach.

Szkola pusta, cicha; po deszczu ziemia pachnie — pachnie zielenią; bez sensu tu stercząc, nie zapukam do drzwi żadnego z domów, zatrzymując kobietę w Dmosinie sądziłam, że nazwisko Jadwigi Langewicz będzie jak iskra — nie takiego jednak się nie stało; przeciwnie: to żmudne przypomnienie połączone z niecierpliwością jak gdyby mówiącą, że dla kogoś, kto odszedł nie warto nawet przystanąć — nie warto stracić ani chwili czasu, są inni, którzy przyszliznęli na miejsce opróżnione przez Jadwigę Langewicz, więc po co? Może zresztą źle odczytałam niecierpliwość gestu, może wzruszenie ramion nie wyrażało niechęci, lecz po prostu zdumienie: szukać kogoś, kogo nie ma? Langewicz? Jadwiga?

Nie widać mnie tu, przed tą szkołą, stojąc zakryta cieniem drzewa i dziewczynka, która nadchodzi, myśli zapewne, że jest sama na drodze: idzie, skacząc przez kałuże. Jeszcze w białej bluzce, jeszcze uroczysta, chociaż już — bo to późne popołudnie — potargana, z przekrzywioną karką we włosach, idzie, skacząc przez kałuże.

Ta dziewczynka w uroczystym stroju uczniowskim nie wie, że trzydziści, dwadzieścia lat wstecz w Galkówku mieszkał, pracował: uczył — pewno jej matkę i ojca — Roman Zrobek, który na własnych plecach. Szkoła w Galkówku, gdzie teraz pobiera swoje edukacje, gdzie dziś, przed kilkoma godzinami odebrała z rąk wychowawczyń promującą cenzurkę, nie jest imponująca, to nie Tysiąclatka; kiedyś byłam w tej szkole sprowadzona jakąś banalną interwencją, ktoś kogoś nie tolerował, ktoś pod kimś, dołki, kopał, nieważna błaża sprawa, ale wtedy kierowniczka szkoły skarżyła się wiele na tak zwane trudności obiektywne: że za ciasno, przepelnienie, budynek w szwach pęka, że wykonany remont, niedbalstwo wykonawcy; siedząc w skromnym gabinecie słuchałam litani skarg, zażaleń zwykłych i poważnych; nie padło wówczas nazwisko Romana Zrobka, a ja nie wiedziałam o nim, że to szkołę właśnie, bez żadnych „trudności obiektywnych”, na własnych plecach. Słuchałam z zawadą piśniością, tego brakuje, tego nie ma; zapomniałam i ja, że był to okres, w którym brakowało wszystkiego i niczego nie było; zapomniałam, że istniał czas, kiedy trzeba było na własnych plecach. Plecy nauczycieli w pierwszym dwudzie-

stoleciu naszego kraju okazały herculesową wprost siłę, potrafiły dźwigać szkoły.

Dziś to już niepotrzebne, aby dźwigać na własnych plecach; dziś od czasu do czasu zdarzają się po prostu „trudności obiektywne”. Ta dziewczynka, która na drodze przed szkołą wyraża na swój dziecinny jeszcze sposób radość z istnienia: idzie, skacząc przez kałuże, nie wie nie o „obiektywnych trudnościach” sprzed paru lat, na szczęście nie poznała tego określenia — parawanu; określenia — asekuracji; ale może powinna dowiedzieć się o wytrwałej sile pleców Romana Zrobka? Bo nie wie o niej, na pewno. Pięć kilome-

na przyszłe szóstoklasistki — nagle zmieszane, że nie wiedzą, że nie potrafią odpowiedzieć — mogę jedynie myśleć o smutku przemijania. Maria Fastyn na tajnych kompletach podczas okupacji uczyła niech żywi nie tracą nadziei; i nie tracili; był okres Nocy i Mgły, lecz słowo polskie miało w sobie siłę i nośność pocisku. Po tej Rzeszy; jedną z pierwszych represji była likwidacja szkół, nauczyciel znalazł się na czarnych listach; dlatego Stanisław Kuras, kierownik wiejskiej szkoły w Małynie nad Norem, zastał swój dom otoczony, a potem prawie nie lat Dachau i Maurhausena; z jednego tylko powiatu sie-

spracyjna matura: trzy dni egzaminów pisemnych z trzech przedmiotów — języka ojczystego, obcego i matematyki, w czwartym dniu egzaminu ustne. Komisja egzaminacyjna w pełnym składzie, często z wizytatorem z podziemnego okręgu, Aleksandrem Szadkowskim, który jednocześnie pełnił funkcję dyrektora Tajnego Gimnazjum w Kuluszkach. Maria Fastyn wspomina tamten czas, już historyczny, spokojnie, bez patosu; nie pada ani jedno wielkie słowo, po prostu: polonista Zyz aresztowany i nikt go więcej nie widział żywego: lekcja nieciosobowego kompletu przy stacji Zakowice — łapanka, ostrzeżenie listonosz; żandarm zasta-

dzie z wykształceniem. Tajne Zorganizowane Gimnazjum i Liceum w Kuluszkach przetrwało swoją podziemną działalność w ostatnim dniu okupacji, tego dnia Maria Fastyn nie wiedząc, że już koniec, poszła na lekcje do Kuluszek, uczyła w Kuluszkach sześć tajnych kompletów, ale lekcje już się nie odbyły, była to bowiem środa, piętnasty styczeń tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok.

Zaledwie w sześć dni później, pierwszego lutego Maria Fastyn uczestniczyła w uroczystym posiedzeniu Rady Pedagogicznej. Tajne Zorganizowane Gimnazjum i Liceum wyszło z podziemi, przeobraziło się w wolną szkołę polską: Państwowe Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum. W tym liceum Maria Fastyn przepracowała prawie trzydzieści lat, wychowała kilka pokoleń młodzieży.

Dziewczynka, bawiąca się przed swoją szkołą w Galkówku, i te trzy przyszłe szóstoklasistki ze szkoły różyczej nie wyobrażają sobie takiej szkoły, która przez pięć lat bez miała obywała się bez murów, bez sal gimnastycznych, bez pokoi nauczycielskich, bez dzienników klasowych, bez pracowni, pomocy naukowych, podręczników, zeszytów. Niewyobrażalny jest też dla nich okres bliższy, kiedy wszystko w tym kraju trzeba było na własnych plecach. Jeżeli dziś w sklepie papierniczym brakuje wkładów do długopisów, jeżeli skończył się zapas importowanych kredek, te dziewczynki się dziwią, jak to: nie ma? jak to: brakuje? — może nawet najodważniejsza z nich wyrazi głośno oburzenie; pamiętam o tej porze swój pierwszy w życiu zeszyt: papier wyniesiony z gruzowiska, wymięty, nieco poplamiony; później pocięty w równe kartki, a kartki żyłyte starannie nitką i poliniowane kopiozowym ołówkiem w trzy linie; mój pierwszy zeszyt do polskiego, gorzej było z zeszytem do rachunków, bo łatwiej poliniować niż pokratkować i dlatego moje pierwsze cyfry stawiałam koślawo, a słupki na dodawanie tańczyły po całej stronie. Pamiętam swój pierwszy kalamarż: buteleczka z rozrobionym wodą grafitem kopiozowego ołówka! jakże miał piękny kolor — mocno fioletowy. Wzruszenie: mój pierwszy zeszyt; mój własny kalamarż. Pamiętam swoją pierwszą szkołę — daleko od Łodzi, daleko od Brzezin; pięćdziesiąt kilometrów za Olsztynem: burmistrz i kierownik szkoły razem zbijali deski w ławkę. Pamiętam na dziedzińcu przed szkołą stos rzeczy ofiarowanych przez ludzi: jakieś stoły, stoliki, zydełki, krzesła, doniczki z kwiatami i bez kwiatów pod przyszłe kwiaty; i śmieszna rokokowa kanapka, wruszająca, którą ktoś oddał nie dlatego, że mu zawadzała, ale dlatego, aby „man kierownik szkoły mógł akuratnie gościł przyjmować w swoim gabinecie, którego oczywiście jeszcze nie miał, ale coż to szkodzi, skoro mieć kiedyś będzie. I uroczyste otwarcie szkoły, jakże w porównaniu z dzisiejszymi brzydkiemi, kosztaweli, ubogimi, a i także pięknie jednocześnie i wspaniale: ludzie plakali.

Trzy uczennice, spotkane na szosce między Kaletnikami a Różycą, i ta dziewczynka bawiąca się przed szkołą w Galkówku, która wciąż podglądam zakryta cieniem drzewa — nie wiedzą, że kiedyś, dwadzieścia dziewięć lat temu ich rówieśnice prostowały zagięte stalówki, liniowały sobie zeszyty, uczyły się z odpisywanych ręcznie podręczników. One okazują dziś niezadowolenie, jeżeli trzeba odkupić podręcznik od starszej koleżanki, bo pragnęłyby mieć zeszyt nowe, podręczniki też, wprost spisto ma-

trów stąd, od Galkówka, na wąskiej szosce oddzielającej od siebie dwie miejscowości: Kaletnik i Różycę; na szosce tak wąskiej, że mieszkaniec Różycy nieomal zagląda w okna sąsiadowi z Kaletnika, pytałam się dziewczynkę, wracającą ze szkoły w Różycę, gdzie mieszkała w Kaletniku Maria Fastyn. Nie wiedziały. Ani gdzie mieszka, ani czy w ogóle taka tu mieszka. Nie wiedziały kto to jest Maria Fastyn — nauczycielka, która ponad połowę swego życia poświęciła „szkole” i która od ponad trzydziestu lat mieszka „na Kaletniku”, w drewnianym domku, otoczonym ogrodem. Ale już doświadczona niechętnym — czy też zdumionym? — wzruszeniem ramion kobiety z Dmosina, nie odczułam tak gorzko tej niewiedzy: trzy rozesniane dziewczynki, koniec roku szkolnego za dwa dni, promocje do klasy szóstej, oceny pozytywne; coż wspólnego mają te trzy uczennice, mające dzień w dzień domek Marii Fastyn, z przeszłością, do której Maria Fastyn naziw? Maria Fastyn o swoim życiu mówi w czasie przeszłym — dziewczynki: w czasie przyszłym. Mogę obwiniać kobietę z Dmosina za jej niepamięć, za niecierpliwy gest, odrzucający wspomnienie Jadwigi Langewicz; patrząc

radzkiego wywieziono na początku wojny 142 nauczycieli. Maria Fastyn przeżyła te pięć lat w Kaletniku, często ukrywając się przed wywiezieniem na roboty, nie meldowana, bez papierów, ale pracując w Tajnym Zorganizowanym Gimnazjum i Liceum w Kuluszkach. Kilometr dalej — granica Trzeciej Rzeszy, część powiatu brzezińskiego odcięto od Generalnej Guberni, przyłączając do Rzeszy, granica przebiegała właśnie tutaj, kilometr za Kaletnikiem, i w tym wmożonym pasie represji, na obszarze kilkunastu kilometrów: Kaletnik, Różycę, Zakowice, Będzelin, Nowe Chrusty, Kuluszki, pod samym nosem straży granicznej, wmożonej kontroli żandarmów — kilkunastu nauczycieli, zorganizowanych w Tajnym Gimnazjum przemierzało codziennie niebezpieczne kilometry; bez urlopów, bez wakacji, bez względu na pogodę, aby gdzieś, pod chłopskim dachem udzielającym gościnnie niezbyt pewnego schronienia uczyć młodzież z okolic. Na zaszyfrowanych świadectwach maturalnych, oznajmiających abiturientom, figurowały wszystkie przedmioty, łącznie z językami obcymi: niemieckim lub francuskim, i łaciną; nie wykładano religii, nie uczono rysunków czy śpiewu. Kon-

EWA OSTROWSKA

IDZIE SKACZĄC PRZEZ KAŁUŻE

AKCJA „TUNEL”

Dalszy ciąg ze str. 1

Oto 23 kwietnia 1956 roku generał-major Carenko pełniący obowiązki szefa sztabu wojsk radzieckich w Niemczech skierował pismo do szefa sztabu wojsk USA w Europie, generała-majora Unclesa, w którym donosił o wykryciu w rejonie Alt-Glienicke tunelu długości 300 m (na terytorium Berlina demokratycznego), który wykorzystano do zainstalowania podsłuchu do kabli obsługiwanych przez wojska radzieckie. Wyrażając ostry protest wobec strony amerykańskiej generał Carenko stanowczo popiełił tę akcję jako nowy dowód „przestępczej i diabolicznej działalności szpiegowskiej wobec krajów socjalistycznych”. W odpowiedzi Amerykanie udają zupełnie zaskoczenie stwierdzili, że nie im nie wiadomo o istnieniu takiego tunelu. Kto zatem zaplanował i zorganizował tę akcję i kto udzielał jej nie tylko „moralnego” poparcia? Aby odpowiedzieć na to pytanie, cofnijmy się nieco w czasie.

Jest rok 1954. W kwaterze głównej Gehlena w Pullach rodzi się kolejny plan działań wymierzonych przeciw państwu socjalistycznym. Korzyści, jakie w jego efekcie zamierzano osiągnąć, miały przekroczyć najśmielsze

oczekiwania, przewidywano bowiem... ale nie uprzedzamy faktów.

Od dłuższego czasu Gehlen rozważał koncepcję, która jego zdaniem w przypadku realizacji mogła rozwiązać szereg istotnych problemów. Jak każdy szef wywiadu dąży do zebrania jak największej ilości informacji o stronie przeciwniej. Tą stroną przeciwną była dla Gehlena przede wszystkim NRD. Plan był w zasadzie prosty. Chodziło o podłączenie się do kabli telefonicznych stołecznego Berlina i zainstalowanie połączeń z tajnym przełącznikiem w jednym z sektorów Berlina zachodniego. W ten sposób BND mogłaby przechwytywać i rejestrować wszystkie rozmowy telefoniczne ministerstw, instytucji i głównych urzędów NRD oraz prowadzić podsłuch niektórych połączeń międzynarodowych, zwłaszcza z ZSRR. Gehlena opanowała bowiem idea podsłuchiwanie rozmów prowadzonych przez Ulbrichta z Bułganinem i Chruszczowem.

Wydało się, iż gra jest warta świeczki. Realizacja projektu mogła się stokrotnie opłacić. Nie była ona bynajmniej sprawą łatwą. Najpierw trzeba było do tego projektu przekonać Amerykanów. Należy pamiętać, że Gehlen nie działał jeszcze wówczas

samodzielnie i podlegał bezpośrednio szefowi CIA, Dullesowi. Poza tym strona techniczna operacji także przedstawiała sobą spore trudności, które bez pomocy Amerykanów mogłyby się okazać nie do przezwyciężenia.

Projekt planu działania, jaki Gehlen przedstawił Dullesowi, przewidywałby z sektora amerykańskiego Berlina zachodniego do głównych rozgłoseń kabli stołecznego Berlina o kilkaset metrów od linii demarkacyjnej. Zadanie, jakie w związku z tym otrzymali specjaliści z centrali w Pullach, polegało na zbadaniu siatki telefonicznej Berlina. Na podstawie ich ekspertyzy okazało się, że większość linii zainstalowanych jeszcze przed i podczas wojny dla potrzeb Wehrmachtu lub Luftwaffe pozostała nienaruszona i służyła obecnie administracjom: niemieckiej i radzieckiej.

Wspomniany tunel miał się rozpoznać w pobliżu nowo wybudowanej stacji radarowej lotnictwa amerykańskiego, na przedmieściu Rudow w Berlinie zachodnim, częściowo dlatego, aby mogło się nią posługiwać lotnictwo amerykańskie w Buckow, ale także po to, by móc obserwować teren lotnictwa radzieckiego w Schoenefeld. Gehlen uważał bowiem, że drażnienie tunelu w tym rejonie nie zwróci większej uwagi władz radzieckich, podobnie jak to miało miejsce przy pracach związanych z budową stacji radarowej. Według wstępnie sporządzonego kosztorysu prace związane z budową tunelu miały drogo kosztować.

Specjaliści z Pullach oszacowali je na ponad milion dolarów; w rzeczywistości kosztowały cztery razy więcej.

Początkowo Dulles nie wykazał zbytniego entuzjazmu wobec przedstawionego mu projektu. Wynikało z tego, iż dostrzegając oczywiste korzyści, był jednak przekonany, iż robót nie uda się przeprowadzić do końca, ponieważ zostaną wykryte. Mimo to polecił jednemu ze swoich zastępców, Bisselowi, zbadać dokładnie całą sprawę. Konsultacje, jakie ten ostatni przeprowadził w tym celu ze specjalistami z Massachusetts Institute of Technology oraz dyskretna inspekcja na miejscu wyraźnie przemawiały za planem. Bissel poradził więc Dullesowi, by wyasygnować fundusze niezbędne do realizacji tego zamierzenia. Jest oczywiste, że prace musiały być prowadzone w najgłębszej tajemnicy, przy zachowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności. Odpowiedzialność za dyskretność całej operacji spoczywała na technicznej służbie Gehlena.

Tunel zaczynał się w rejonie Rudow, gdzie było wówczas zupełnie pustkowie i przechodził na przestrzeni około 500 metrów, pod drutami kolejnymi do Berlina demokratycznego. Operacja nie była łatwa, gdyż przepro-

wadzenie tunelu wymagało usunięcia tysięcy ton ziemi spod stacji radarowej. Ziemię tę ładowano do skrzyń oznakowanych w taki sposób, by ich zawartość mogła uchodzić za sprzęt elektroniczny do stacji radarowej. Po prawie trzech miesiącach, prace nad budową tunelu zostały zakończone. Wydrążony na ponad 10-metrowej głębokości miał on silną konstrukcję. Korytarz główny zbudowany był z ogromnych stalowych rur ujętych w składany tubing o średnicy 1,9 m. Segmenty tych rur spawano pod ziemią. Tunel prowadził do trzech odrębnych sekcji oddzielonych żelbetowymi ścianami, zaopatrzone w stalowe drzwi, otwierane systemem elektrycznym. W pierwszej z nich zainstalowana była klimatyzacja, w drugiej — kabina podsłuchowa, wreszcie w trzeciej — centrala telefoniczna i tablica rozdzielcza połączeń. Energię elektryczną do zasilania poszczególnych urządzeń tunelu pobierano ze stacji radarowej, ale sam tunel wyposażono także w generator elektryczny i system ogrzewania. Przewidziano też dwie strefy bezpieczeństwa z nagromadzonymi w nich workami piasku i zasiekami drutu kolczastego. W razie alarmu robotnicy, a później ekipy prowadzące podsłuch, miały się nim zabezpieczyć przedostać do stacji ra-

szyny drukarskiej. Mogą pragnąć, mogą nawet żądać, gdyż żyją w czasie nieporównywalnym do tamtego, z którego wywodzi się Maria Fastyn, Stanisław Kuras, Roman Zrobek, Emil Gernal, Józef Wójcik, Jadwiga Zaremba, Piotr Strzelec i dziesiątki setki innych, którzy szkołę dzwignali na własnych plecach, nie stosując dla siebie żadnych taryf ulgowych, nie zaslanając się żadnymi parawanami w rodzaju „trudności obiektywne”. Nie znane to było powiedzenie w tamtym czasie, Nikt z niego nie korzystał. Szkolnictwo, jak wszystko inne w kraju, należało zbudować w sensie dosłownym: od podstaw. Stanisław Kuras, były nauczyciel i były inspektor, a wciąż nieustraszonego działacza, społecznika, wciąż potrzebny i tym młodym, do których odesłała mnie kobieta w Dmosinie, mówił przed wojną na terenie powiatu brzezińskiego istniało pięć szkół. Pięć. Cyfra złowroga. Piętnaście lat Polski Ludowej pomnożyło tę cyfrę dziesięciokrotnie; powiat brzeziński w roku 1970 pokryty był siecią pięćdziesięciu kilku szkół. Lecz po piętnastu latach cyfra ta dla nikogo nie oznaczała zwycięstwa, była wciąż trudnym pozostawieniem, i wciąż jeszcze trzeba było na własnych plecach. Trzydzięć lat, dwie następne szkoły przybyły powiatowi podczas następnych lat dziesięciu. Pięć a osiemdziesiąt pięć. Z czym to porównać, do jakiej skali przymierzmy?

Spytałam dziewczynki z różyckiej szkoły — tak szerze zmartwione tym, że nie wiedzą, gdzie mieszka Maria Fastyn — o ich szkołę w Róży. To ładna szkoła, lecz dla nich już zwyczajna, nie dopatrzły się w swojej szkole niczego nadzwyczajnego, o, po prostu jest, bo teraz szkoły są wszędzie, i cóż w tym dziwnego?

Wszędzie są szkoły. A było pięć. Z taką liczbą startowała oświata w powiecie brzezińskim — czy tylko w brzezińskim? pytanie zgola teoretyczne. Pięćdziesiąt szkół po piętnastu latach, liczba imponująca, a przecież nieostateczna. Gdy w 1971 roku Stanisław Kuras obejmował, po awansującym do Kuratorium Feliksie Michalskim, Inspektorat Brzeziński, zastał tę imponującą liczbę, ponad pięćdziesiąt szkół. Ale jakich? Przeważały jeszcze nisko zorganizowane, nie od razu budowałyśmy Tysiąclatkę; były też i takie szkoły, które szkolami pozostawały właściwie w nazwie; gnieździły się na komornym w chłopskich chałupach, bo i wieś jeszcze wtedy nie była muirowana lecz kryta strzechą. Pamiętam taką szkołę: w jednej izbie pod oknem klasa pierwsza „a” pisała: To Aia; pod pięć klas „a” powtarzała tabelkę mnożenia; a nauczyciel i dzieci przypytawali zimą nogami dla rozgrzewki, bo nie było opatu. Pamiętam też szkołę, w której tedią, pięcioletniem otaczana pomocą szkolną był stary globus z Australią załepioną plastrem, ale dzieci wiedziały, że w tym miejscu, gdzie plaster, jest Australia, jeden z pięciu kontynentów.

Pięćdziesiąt kilka szkół, liczba wciąż niedoskonała. Dwustu siedemdziesięciu nauczycieli pracowało w tych szkołach, a wielu z nich pozostawało nauczycielami jedynie ze szczyrych

intencji; połowa nie posiadała kwalifikacji pedagogicznych; część legitymowała się wykształceniem podstawowym. Dziś bez mała dziewięćdziesiąt procent nauczycieli z ośmiuset zatrudnionych w szkołach powiatu brzezińskiego posiada wyższe lub co najmniej półwyższe wykształcenie, wszyscy mają kwalifikacje pedagogiczne. Na pomoce naukowe wydaje się rokrocznie sumy rzędu miliona i więcej złotych. Przyszła reforma szkolnictwa, szkoła wiejska przestała istnieć. Jest po prostu szkoła. Wysoce zorganizowana, z wysokim poziomem nauczania, wysoko kwalifikowaną kadrą nauczycielską. Wszędzie są teraz szkoły, jak powiedziała jedna z trzech uczennic spotkanych na szosie między Kaletnikami a Różyca.

Pięknie powiedziała. Zwyczajnie. Bez wykrzyknika. Stwierdziła fakt, który utrwalili się w jej dwunastoletniej świadomości jako powszedni. Jeszcze jednak nie wie, że ten fakt, chociaż tak powszedni jak chleb, jest podarunkiem ojczyzny dla niej. Bo nie musi tak jak syn culopa z sieradzkiego, Stanisław Kuras, jechać do odległej szkoły trzęsącą furą, patrzeć na lzy odprowadzającej matki, słuchać jej rozpaczliwego: tylko się uczyć; nie musi nauki i pobytu w internacie opłacać ceną sześciu metrów zboża; i nie musi też uciekać z lekcji tylnym wyjściem w obawie przed łapanką, ani nie musi zrywać kartek w zeszyty, ani przytupywać nogami dla rozgrzewki, patrzeć na globus z zaklejoną Australią. Powinna się jedynie uczyć. Tylko tyle. Po wszystko może sięgnąć, otrzyma wszystko, nie przed nią nie jest zamknięcie, wszystko osiągnie, bo czas, w którym żyje, jest czasem nieporównywalnym. Nieporównywalność, słowo, które mogłoby się stać hasłem. Nieporównywalność dnia dzisiejszego z dniem wczorajszym — tym dalszym i tym bliższym. Nieporównywalność wydzwignięta na własnych plecach — tu w Galkówku, i tam — w Dmosinie, Kaletniku, Róży, Kuluszkach, Brzezinach — wszędzie. I te młodziutki nauczycielki, które spotkał Stanisław Kuras podczas wizytacji: mieszkaly w komórze u chłopca, gotowały właśnie na pierwsze i na drugie danie ziemniaczane obierzyny, lecz w oknach ich szkoły wisiały franki uszyte z gazy opatrunkowej i śmiały się kolorowo kwiaty z obuwia; i ta nauczycielka po siedmiu oddziałach, która dziś ma tytuł magistra i jest wizytatorem — i ci, którzy zostali w wiernej pamięci, i ci, których już zapomniano — przyczynili się do dzisiejszej nieporównywalności.

Nagle pojmuję, stojąc tu przed szkołą w Galkówku: trwałe jest to, co przemija. Pamięć kobiety z Dmosiny wyzwała się imienia Jadwigi Langewicz, lecz została szkoła w Dmosinie, i jest szkoła tutaj, w Galkówku, i jest szkoła wszędzie.

I jednocześnie, patrzę na dziewczynkę w uroczystym stroju uczniowskim, która idzie, skacząc przez kalendarze, uświadamiam sobie, że ta dziewczynka, i tamta, spotkane na szosie oddzielającej Kaletnik od Róży — aby potrafiły ocenić nieporównywalność tego dnia: a jest dwudziesty czwarty, czwartek, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt czwarty rok — powinny dowiedzieć się o trwałości przemijania.

Z liści drzew spadają ostatnie krople deszczu, a deszcz spadł przed chwilą gwałtowny, pośpieszny; już lato.

METRESA i MATADORZY

Chociaż twórczość Zapolskiej nigdy nie została przechwalona, dramaty jej zachowały się w zbiorach i stanowią do dziś żelazny repertuar teatrów. Powiedzmy od razu, że nie wszystkie sztuki, które spłynęły spod pióra skandalizującej literatki, ale te utwory, gdzie najsilniej zaznaczył się jej nerw dramatyczny i bezpardonowa obserwacja obyczajowa skojarzona z ostrym widzeniem stosunków społecznych. A jest ich wiele, niemniej, na czele z nieśmiertelną „Moralnością pani Dulskiej”, gdzie zmysł obserwacyjny Zapolskiej wyraża się najpełniej. A przecież takie dramaty jak „Ich gworo”, „Zabusia”, „Panna Maliczewska” a nawet „Skiz” (nie tak dawno wystawiony w Łodzi) są nie tylko źródłem satysfakcji aktor-ki, ale znajdują żywy rezonans u współczesnego widza.

Nietrudno zrozumieć przyczyny tej żywotności. Zapolska jawiła się podpatrując świat mieszczański, a mieszczaństwo, już nie jako warstwa społeczna ale mentalność, jest zjawiskiem niemal ponadczasowym, choć często poprzehieranym dla niepoznaki w zgola inne piórka. Toteż stworzone przez pisarkę postacie, choć grubo ciosane, są pełnokrwiste i rozpoznawalne. To nie, że jej bohaterowie rządzą się częściej prawami sceny niż psychologii, że są jedno-wymiarowi i płacy. Pióro Zapolskiej ukształtowało teatr, w którym z powodzeniem występowała jako aktorka i zdobyte na scenie doświadczenie potrafiła z powodzeniem przenieść do swoich sztuk, które zdradzają niepospolite opanowanie rzemiosła dramatycznego.

Mniej nas interesuje koloryt obyczajowej sztuki, bo w literaturze znajdziemy setki podobnych opisów „karier” statystycznej na scenie aktoreczki, bardziej zaś jej kondycja ludzka i mechanicznie społeczne, które sprawiają, że Panna Maliczewska, która gra Krystyna Tesarz, musi zostać utrzymanką podstarzałego sadownika i Dauma (Włodzimierz Skoczylas). Maliczewska — Zanol-skiej nie jest kurtyzany wielkiego formatu, kobieta, która wpływa jeśli nie na losy świata, to w każdym razie najbliższego otoczenia. Nie ma w tej sztuce miejsca ani na cyniczna gre ani na wielkie namietności. Maliczewska decyduje się na romans ze starszym scho-rowanym panem, który bierze inbala-cje, nie dla kariery scenicznej równo-znacznej z gładem do samodzielnosci, ile dla zapewnienia sobie środków utrzymania, bo nawet status utrzymanki jest dla niej rodzajem awansu, szansa ucieczki z wiecznie zaparowanej izby praczeki Żelaznej (Aleja Ciecicka), która dorabia sobie odnajmowaniem kąta do spania i kupierstwem. Jest to bowiem świat surowych ekonomicznych

determinant, w którym nie ma miejsca na żadne ludzkie względy i determinanty te Zapolska ostro wydobyla. Maliczewska nie jest więc kurtyzana, jest raczej zahukana panią, która płaci cenę najwyższą, bo swojej godności, za złudzenie, że wyrwała się z dotychczasowego świata.

Daum pozwala jej żyć te złudzenia, pozwala jej nawet ludzić się, że przyszły kochanek, Bogucki, którego gra Maciej Malek, okaże się bardziej wyrozumiały dla artystycznych ambicji panny. Kiedy Daum odchodzi przerażony nie tyle romansem swego syna, Fila (Marek Kolaczowski) z Maliczewska, ile tym, że chłopak traktuje



Fot. A. Brustman

swoje zafascynowanie na serjo. Bogucki przejmie prawa do utrzymania, a nawet mieszkanie wynajęte przez Dauma. Niedawny lowelais i salonowy lew natychmiast okazuje swoje prawdziwe oblicze parweniusza — bardziej jeszcze bezwzględny niż podstarzały Daum, którego związek z Maliczewska miał swoje podłoże sentymentalne. Cena jaką Maliczewska płaci za ten związek jest nie tylko społeczny ostracyzm, ale jeszcze większa zależność od matadora, brutalnie wkraczającego w swoje prawa. W tym pozabawionym ludzkich uczuć świecie istnieć nie tylko społeczne pietra: są w nim także pietra zakłamania. Daum musi ukrywać swoje kontakty z Maliczewska przed żoną i towarzysztwem, Maliczewska ukrywa przed kochankiem, że rzekoma służka Michałowa (Halina Koman-Dobrowolska) jest w rzeczywistości jej siostra. Jedyna postać, która wybudza naszą sympatię, jest niedojrzały syn

pewne spektakli, który na dłużej utrwalili się w naszej pamięci, ale wart obejrzenia już choćby ze względu na piętyzm wobec pisarstwa Zapolskiej i jej modelu teatru. Dodajmy z obowiązku kronikarskiego, że pozostałe role grają: Andrzej Jurczak (Edek), Barbara Jak-liec (Daumowa), Zdzisława Małska (Michalska), Józef Łodyński (Sekwestra-tor) oraz Piotr Binder i Krzysztof Stro-ński (Koledzy).

KONRAD FREJDLICh

Teatr im Stefana Jaracza w Łodzi. Gabriela Zapolska: „Panna Maliczewska”, sztuka w trzech aktach, reżyseria Włodzimierz Kwaskowski, scenografia Stanisław Bąkowski, premiera w lipcu 1974 r.

darowej. Na wypadek ataku założono system pozwalający na wysadzenie w powietrze całej konstrukcji. W rzeczywistości niebezpieczeństwo, według oceny fachowców Gehlena, było znikome, ponieważ Volkspolizei (Policja Ludowa NRD) musiałaby przebiec przez ścieżkę do tunelu, co pociągnęłoby za sobą jego automatyczne zablokowanie.

Aparaturę stanowiącą wyposażenie tunelu była produkcją angielskiej i amerykańskiej. Woda, która mogłaby się przesączać do wnętrza, mimo zastosowania wszelkich środków izolacyjnych, była odprowadzana rurami prowadzącymi pod ziemią w kierunku stacji radarowej. Tunel był eksploatowany przez ponad dziewięć miesięcy przez specjalistów z US Army i CIA, przez ludzi Gehlena i tzw. „tłumaczy obcojęzycznych”.

Aparaturę podsłuchową podłączono do kabli prowadzących do głównej kwatery radzieckiej w Karlshorst, do Pankow (dzielnicy rządowej), ambasady radzieckiej, Ministerstwa Bezpieczeństwa oraz innych ministerstw i instytucji publicznych, a także do głównych linii telekomunikacyjnych z Moskwą via Warszawa, z Lipskiem, Pragą, Wiedniem, Budapesztem i innymi ważnymi ośrodkami. Aby za-

pewnić niezbędną czystość odbioru i uniknąć niebezpieczeństwa alarmowania telefonistek we wschodniej części Berlina zainstalowano specjalne wzmacniacze. Selektory mogły przekazywać około 432 rozmów jednocześnie, które następnie nagrywano na ogromną ilość magnetofonów rejestrujących, znajdujących się w stacji radarowej.

Pomimo zastosowania wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa zdarzyły się incydenty, które wywoływały pewniern rodzaj paniki. Oto pewnego dnia ludzie pracujący w sekcji nasłuchu usłyszeli hałas nad swymi głowami. Z góry dochodziły charakterystyczne odgłosy wiercenia. W rzeczywistości hałas ten pochodził wprawdzie z innej części Berlina demokratycznego, ale każdy sądził, że oto nadszedł moment wykrycia tunelu. Natychmiast połączono się telefonicznie ze stacją radarową. Okazało się, iż wiercony jest kanał o 10 m od dachu tunelu.

O wiele poważniejszy alarm miał miejsce zimą z 1955 na 1956 rok. Wystąpiły wówczas obfite opady śniegu i z obawą skonstatowano, że mimo dużej warstwy ziemi (od 7 do 8 m), dzielącej tunel od powierzchni, gorące powietrze z tunelu może go rozto-

pić. Trzeba więc było wyłączyć ogrzewanie. W tej sytuacji przez szereg tygodni ludzie operujący w tunelu zmuszeni byli pracować w kombinazonach ogrzewanych elektrycznie. Dodatkowo pod sufitem zainstalowano system chłodzenia, żeby ziemia się nie rozgrzewała.

Taśmy z zarejestrowanymi rozmowami były dokładnie analizowane. Ich treść wzbudziła wśród odpowiedzialnych pracowników CIA i ludzi Gehlena olbrzymie zainteresowanie. Pracę „tunelu” uznano za wysoce zadawalającą. Nie ulega wątpliwości, iż Gehlen zebrał dzięki niej obfite żniwo informacji. Jak okazało się po wielu latach (z przecieku CIA), zarejestrowano w ten sposób tysiące rozmów telefonicznych, które następnie rozpisano na specjalne karty i poddano drobiazgowym analizom.

Wszystko jednak trwa do czasu. Tak było i w tym przypadku. 22 kwietnia 1956 roku tunel został wykryty. Tego dnia rankiem oficerowie radzieckiego wywiadu wtargnęli doń, po wydrążeniu przez Volkspolizei ogromnego otworu, który ujawnił istnienie tunelu. Miało to miejsce w rejonie Alt-Glienickie. W jednej z sekcji o długości około 30 m znaleziono dwa amerykańskie urządzenia telefoniczne połączone poprzez boksy z trzema kablami

obsługiwanymi przez wojska radzieckie. W tej sekcji wykryto również różnorodną aparaturę do podsłuchiwania rozmów telefonicznych, w tym 9 wzmacniaczy, magnetofon oraz aparaty pomiarowe itp. W miejscu podłączenia kabli amerykańskich do podziemnych kabli radzieckich przy Schoenefelder-Chausse (na terytorium NRD) zbudowano specjalną studnię oraz założono hydroizolację i oświetlenie elektryczne, a wszystko przykryto mocną osłoną metalową. Jednakże w pomieszczeniach, do których wkroczyli Rosjanie, nie było ludzi obsługujących te urządzenia. System alarmowy tunelu działał precyzyjnie i oficerowie wywiadu po przedarciu się przez pierwsze żelazne drzwi znaleźli się w już opustoszałych pomieszczeniach. W jednym z nich na stole gotowała się jeszcze kawa w maszynie. Czy więc ów wypadek był dla obsługi tunelu zaskoczeniem? Czy się go spodziewano? W świetle późniejszych przecieków okazało się, że tak było w istocie. Oto bowiem mniej więcej na dwa tygodnie przedtem, specjalności od nasłuchu zauważyli, iż urzędy radzieckie i niemieckie wykazywały „nienormalne milczenie”. Stało się zatem jasne, że zostały ostrzeżone.

Gdy więc 22 kwietnia radzieccy oficerowie „przeczesywali” dokładnie

wszystkie korytarze i pomieszczenia tunelu, na progu ostatnich żelaznych drzwi dostrzegli napis: „Wehódźcie do amerykańskiego sektora”. Była to, jak się okazało, najkrótsza droga oł tunelu do stacji radarowej, i właśnie z niej skorzystała obsługa tunelu. Tak zakończyła się akcja „Tunel”.

Wkrótce usunięto całą aparaturę, a „drzwi” tunelu otwarto dla publiczności, aby naocznie mogła się przekonać o szpiegowsko-dywerysyjnej działalności Zachodu. Do zwiedzenia tego miejsca zaproszono także przedstawicieli prasy, w tym również zachodniej. Ze swej strony rząd radziecki wystąpił na drodze dyplomatycznej z ostrymi protestami wobec Waszyngtonu, Londynu i Bonn, wnosząc oskarżenie o pogwałcenie suwerenności terytorium NRD i domagając się „surowego ukarania osób i tajnych organizacji, które uprawiały to podziemne szpiegostwo”. Jednak ani amerykański Departament Stanu, ani brytyjskie Foreign Office, jak też CIA i Pentagon nie przyznały się, iż wiedziały o istnieniu tunelu.

ANDRZEJ BLAJER

**TOMASZ
SOLDENHOFF-ZDROJEWSKI**

WOJACZEK -MOJA JAWA

Która musi być podparta aby stała Jak pijany góról
Gdzie zaś by tam! — nie uczona kościelnego pienia
wyslizgana jest od dotknięć niby zakopiański trakt

Nie na tyle w niej męskości żeby błonę przerwać zmlerchu
ostrym rogim i zapłodnić swą wysokość karierowiczowskim
śpiewem
tej kobiety, zresztą nie wiem, może nawet jest w jej
wargach nią

Do komuny nastawiona jest szyderczo i z przekorą, jak do
wódki
ładna jak ja sam i niebezpieczna, gdy obroża snu z niej
zdjęta
podbitą białym futrem dotleniam z regularnością polucji

Kiedy powiem, że południe nie uwierzy, ale przemysł
mego Ja zorganizuje bez zarzutu na swój język Tak jak
dziecko
któremu jednak w chwilach nieuwagi zdarza się być mną,

(lutu 1974)

JOANNA JAŻDZYŃSKA

KONIECZNOŚĆ

Okragły księżyc srebrnie mocno
gwiazdy deszczem kąpią z nieba
żal że taką właśnie nocą
w zapomnienie odejść trzeba

Gdy jasny świt przyniesie mi rozstanie
i twoja dłoń nie otrze łez moich
cichutko godząc się na przemijanie
wyfrunę z silnych ramion twoich

**BARBARA
TIMOFIEJEW-JACHIMOWICZ**

KOBIETA

TRZYDZIESTOLETNIA

Moje myśli są jak płatki róży porzucone przy drodze
Niespokojne o los uczuć i dojrzałość wieku
Jaka jestes kobietą trzydziestoletnią?
Czy to kwiat czekający na przyświecie motyla?
Czy matka rodząca dzieci?
Jaka jest kobieta szukająca spokoju
Na bezdrożu.
Jaka jest kobieta wyzwolona z mieszczańskiej wyobraźni
A zatracona w działaniu
Wolna i zapracowana
Jaki jest ten wiek kobiety dojrzałej
Do rozterek życiowych i awansów społecznych
Jaka jesteś kobietą w swym najpiękniejszym wieku?

ANNA KIESEWETTER

ŻEGLUGA

Ten amfiteatr przezabawny,
maski rzucone ponad falą,
mewy w koturnach czarnych tańczą
dziwnie dostojne i poważne.
Aktorów brak,
lecz słychać w koło,
jak się chór z chórem przekomarza.
Akt pierwszy kończy się, gdy dzwonią
na alarm śmiałkom wiry wodne.
Cj patrzając z góry widzą liny,
co podtrzymują wpuł kurtynę
i dekoracje masztów białych.
Te oczy w niebo nieruchome,
niby nieżywe, a patrzające,
w sieć zwinęte zaplątane,
piaskiem przetarte i błyszczące...

CZESŁAWA POLITAŃSKA



Jakże się odnajdziemy w kamieniu czy pyłku ziemi
jak w chwili co mijają minęła

Białymi skrzydłami bije ptak
aż bieleje noc aż słońce wybucha

Jakże się odnajdziemy odchodząc tak ciągle
gdy już się kończy i już się zaczyna
gdy uniesie nas drzewo i o ziemię rzuci

Jak wielkie jest drzewo drzewo które smucl

Jakże się odnajdziemy jadowite kamienne
na szczycie i w głębi powite

Pod twoimi skrzelałami luską i piórami w trawie kropkistej

Nie pierwszy przecież raz szedł przez
las na Zdrowiu o nie pierwszy raz o-
glądał piknikujące tłumy, a jednak coś
było inaczej — czuł to — nie był tyl-
ko pewien, czy to „coś” zmieniło się
w nim... pewnie, że w nim... nie jest
już żadnym smarkaczem, który przy-
szedł tu pograć w „szmaciankę”, jak
tamci po prawej... dzieciuchy...

Z wyższością patrzył na rodziny wy-
legające się w cieniu drzew, na pię-
trzące się na rozłożonych gazetach o-
górki, kaszanki, śledzie... na te butelki
z papierowymi korkami, w których
była czarna kawa i woda z sokiem,
i wódka... chociaż, kiedy usłyszał chro-
bot maszynek, z których zreczne rece
handlarzy wyczarowywały lody „wacia-
ne”, coś ścisnęło go w dotknięciu, ale tylko
na chwilę, bo zaraz opanował to nieprzy-
stojne uczucie i szedł dalej powolnym
— i jak mu się zdawało — dostojnym
krokiem, starając się nie dostrzegać
dzieciuch, chudych twarzących ob-
lepionych zastygającym karmelem i osi-
dłych na nim kurzem, ani ich oczu pa-
lających od słodkiej błogości nad kłęb-
kami białej substancji.

Zaraz, zaraz... jak to powiedział ten
z wąsikiem?... powiedział, że da taką
robótę, co to z niej będzie furą pie-
niedzy... wszystko będzie można kupić,
nawet handlarza z maszynką, żeby
przez cały dzień robił te wacie... nie,
nie, „Wąsik” tego o wacie nie mówił,
gdzie tam... to już on sam tak sobie
pomyslał i teraz mu wstyd... Ale łódke
to sobie wynajmie, tę największą, co
w niej teraz siedzą jacyś łwaj ele-
ganci i grają na mandolinach, a te

rozśmieszyło, że więcej mu nie dali,
mówiąc, że szkoda, z czego zresztą w
głębki ducha był zadowolony.

Jak już nie zostało w butelkach,
wsiadł gromadą i śmiejąc się na całej
gardło ruszyli w kierunku karuzeli, a
on szedł za nimi i też ryczał jak za-
rzuć prosie, choć nie bardzo wie-
dział dlaczego! i kiedy doszli na miej-
sce, posadzili go w takim wiszącym na
lanuchach krzeselku, potem powsiad-
łi sami, a wtedy karuzela ruszyła w
rym katarzynkowej melodii i wszystko
dokoła zaczęło wirować — najpierw po-
woli, potem coraz szybciej, aż stało się
nieczytelną, rozmazaną od pędu plama...

O bładym Jeszcze świecie rozjęczyły
się syreny fabryczne nad miastem;
stopniowo, jedna za drugą, łączyły swe
głosy w zgodnym chórze, wzywając do
pracy. Ożyła też ta, dobrze znana, na
dachach księżmżyńskiej fabryki i wypłu-
wając z siebie kłęb pary rozdręgała
się w jęczotliwym dźwięku. Nieco ni-
żej, na wieży, zegar obwieszczał świa-
tu, że za chwilę ruszą zamarte maszy-
ny, pednie, kół pasowe, a zmuszą je
do tego ci, którzy właśnie w tej chwi-
li zaczęli wypływać z drzewi domów
i szarzy, ledwie widoczni na tle ziemi
i bruku łączyli się w grupki, poddra-
wiali skinięciami głów, a czasem uści-
snieniem ręki, po czym gestą już ciżbę
wlewały w mrok bramy fabrycznej.

Kiedy plecy ostatnich z nich rozta-
piały się w wejściu, wybiegł z domu
i pogonił w ich stronę, ale po paru już
krokach zwołnął, a zaraz potem za-
trzymał się, jakby zawstydzony niesto-

obrazów i książek pisanym językiem,
którego nie rozumiał, aż przekroczył
granicę składowych drzwi i znalazł się
przed łóżkiem zasłanym błyszczącą ma-
terią. Przez oparcie stojącego obok
krzesła przewieszona była jakieś ko-
szule czy suknie, cienutkie jak mgiel-
ka — pokój niewątpliwie należał do
kobiety. Najbardziej zaintrygowała go
taka dziwna, stojąca pod ścianą biała
szafka z umieszczonym na niej dużym,
okrągłym lustrem. Pękło było na niej
buteleczek, słoiczek, pudełeczek i róż-
nych innych rzeczy, a ponadto szedł od
niej jakiś miły zapach, którego wachanie
sprawiało wyraźną przyjemność. Wziął
do ręki leżącą na szafce różową kulę
— była miękka i lekka jak piórko.
Przysłóżył ją sobie do nosa i wciągnął
nawet mocno powietrze, poczuł, gdzieś
tam w środku, laskotanie tak silne, że
aż łzy nabiegły mu do oczu. Kiechwał
i zmartwiał — bardziej niż usly-
szał, że ktoś stoi za jego plecami. Od-
wróciwszy się gwałtownie, zobaczył
kobietę niemłoda już, ale piękną z
oczyma przymrużonymi od śmiechu.

Stął tak dłuższą chwilę spojony ze
strachu, umiędzy sadzą i pudrem, i
bezsensownie ścisnął w garści ów
puszek, patrząc w twarz kobiety, a kie-
dy ocknął się i chciał uciekać, ta
przesłała się śmiać i zatrzymując go
delikatnie ręką, zaczęła mówić jakimś
obcym językiem, i uśmiechała się do
niego, i wyluskała mu z palców tę
nieszczesną różówkę, i usiadła na ma-
łym taboretku przed lustrem, i cały
czas mówiąc tym ciepłym, niezrozumia-
łym głosem sprawiała, że przestał się
trząść i patrząc na nią dojrzał pod

**ZDZISŁAW
KACZMAREK**

**ANDRZEJ
KOWALEWSKI**

OPOWIADANIE

(FRAGMENT WIEKSZEJ CAŁOŚCI)

dziewczyny, co są z nimi, śpiewają...
ładne są... Popatrzył chwilę rozszerzo-
nym wzrokiem na te dwie, potem na
inne — było ich tu dużo i wszystkie
ładne, przynajmniej tak mu się wyda-
ło; siedziały w łódkach, na trawie,
biegły między drzewami piszącą i
śmiejąc się wesoło — białe było od ich
sukienek, a czerwono i żółto od taniach,
odpuśniętych korallików podrygujących
na ich bluzkach, aż oczy bolą patrzeć.

Pociągają go i niepokoily... catował
się już z jedną parę dni temu i trochę
lepiej — próbował się pocieszyć — do
dziewczyny trzeba umieć zagadać, coś
jej podarować — kontynuował mijając
odpuśtowa loterie, gdzie wśród gipso-
wych figur błyskały tamteńskie piścionki,
o których wiedział od chłopaków,
że posiadają szerególną zdolność kupo-
wania sere dziewczęcych.

Za „Wąsikiem” dziewczyny same bie-
gają, to i za nim będą — co z tego, że
„Wąsik” złodziej? Onie lubią takich praw-
dziwych mężczyzn, chociaż są trochę dzie-
cinne, bo na przykład teraz tłoczą się
przed katarzyniarzem z papuga, która
wyciąga dziobem kariki, a z tyłu kar-
tek można się dowiedzieć co będzie za
rok, za dwa, za dziesięć... ale kto by
nie chciał wiedzieć, co go czeka — to-
też patrzył z czułością, jak biorą te
kariki i odchodzą uradowane dobra
wózka, jak uśmiechają się do tej ra-
doci, która ma ich czekać, jak mówią
sobie o tym nawzajem...

Nagle zorientował się, że stoi przed
karuzelą, a gdzie tu właśnie miał się
spokoić z „Wąsikiem” i tymi czterema,
i w tym samym momencie zobaczył
ich, stojących opodal i przyzwyczaję-
go machaniem rąk, więc przez chwilę
poczuł się trochę niepewnie, ale tylko
przez chwilę i tylko trochę, a potem
poszedł z nimi dalej między drzewa,
gdzie usiedli i „Wąsik” wyjął z kie-
szeni pudełko od zapalek; ono było pu-
ste, ale zaraz zaczęły wpadać w tę ma-
łą szufladkę kropki płynnego wosku
kapiące z zapalanej przez „Wąsika”
świecy, aż szufladka wypełniła się po
brzezi, a wtedy „Wąsik” zgasił świe-
cę i wpatrując się w stignacą powie-
rzechnię, mówił długo o tym, jak to
powierzają mu ważne zadanie i o pie-
niądach, i jeszcze tłumaczył różne
szczegóły, a kiedy powierzenia wosku
zrobiła się już twarda i palce „Wąsi-
ka” zamknęły pudełko miękkim ru-
chem, wziął je z tych palców i powta-
rzał sobie w myślach takie rzeczy,
jak: jutro... zdun... bogaty dom... pu-
dełko z woskiem... odcisk zamka...
więcej powtarzając sobie te rzeczy, że-
by nie zapomnieć i czegoś nie popła-
tać, bo nie wszystko dobrze rozumiał,
a wstyd mu było pytać, siedział trochę
oszołomiony i patrzył na tych pięciu,
którzy poklepywali go teraz po ramie-
niu, aż nadszedł woski mężczyzna w
cyklistowskiej i podał mu rękę, i to był
ten zdun...

Siedzieli potem jeszcze jakiś czas pod
drzewem, bo zdun wyjął, nie wiadomo
skąd, dwie butelki z wódką, ogórki i
kaszankę, i pilli te wódkę, zagryzali,
pallii papierosy, opowiadali sobie róż-
ne śmieszne rzeczy... dali i temu się
napić, i to była chyba najśmieszniejsza
rzecz, bo aż tarzali się w trawie, kiedy
on, czerwony jak burak, starał się zła-
pać oddech po przelknięciu sporej
porcji ognistego płynu, i tak ich to

sownością swego odruchu, bo przecież
ta syrena nie była już dla niego ani
dziś, ani jutro, ani nigdy...

Wtedy stał tak pośrodku ostęda, jak-
by zamysłony i w nagłej ciszy, która
zapanowała po umilknięciu syren, usly-
szał życie klebiące się w izbach —
krzątanie kobiet, brzęki naczyń, spo-
kójne od niewyspania głosy; widział
ciemne sylwetki przebiegające czasem
z domu do domu w sobie tylko wiado-
mych celach, widział dzieci, idące z
wiadrami po wodę, czy węgiel, ale
wewnątrz ogromnego ludzkiego łała po-
zostawało dla niego nie odkryte. Wtedy
siadł tak ciągle, jak ścianą i ścisnął
w dłoni zanurzonej w kieszeń spodni
pudełko z woskiem, kručąc zapowiedź
lepszego, jak mu się zdawało, bytu —
wsluchiwał się w puls tego nagle i
przypadkiem odkrytego świata.

Kiedy kilka godzin później stanął u
podnoża schodów fabrykanckiego domu,
zadął wysoko głowę i pożałował oczyma
cale to bogactwo przegromne w takim
napieciu, że aż usta rozdziawił szeroko
i dopiero kuksaniec wyrwał go z ote-
pienia, ale nie zupełnie. Wehodził potem
po marmurowych schodach poprzedzany
przez lokaja i zduna; szło mu to nie
najlepiej, bo coraz bardziej zostawał
w tyle, aż w końcu potknął się na
jakimś stopniu i łapiąc równowagę wy-
puszczył z ręki skrzynkę, z której wysy-
pały się narzędzia czyniąc loskot, spo-
legowany jeszcze echem idącym po ko-
rytarzach, tak, że przerażony już z-
upełnie, zaczął pospiesznie zbierać roz-
rzucony dokoła sprzęt, wysłuchując je-
dnocześnie cichej reprimendy szefa.

— Napalisz w tym piecu — powie-
dział zdun, kiedy zatrzymali się przed
wskazanymi przez lokaja drzwiami —
Masz tu zapalki — wsunął mu w dłoń
czterozęcze pudełeczko i odbierając
skrzynkę z narzędziami, wepchnął go
do pokoju, w którym stał ogromny
piec, cały z niebieskich kafli, a na
nich wyobrażone były jakieś rośliny,
czy coś takiego.

Pomieszczenie, w którym się znalazł,
stanowiły dwa połączone z sobą pokoje,
a między nimi były takie duże drzwi,
złożone teraz jak harmonijka.

W tym drugim pokoju widać było
ogromne, piękne łożko, jakiego
nigdy nie widział, toteż patrzył na nie
dłuższą chwilę wyciągając ciekawie
szyję i dopiero przypomniał sobie,
po co tu przyszedł, ruszył w kierunku
pieca. Stanął przed nim i schowawszy
do kieszeni pudełko zapalek, poglądził
odrochowo łożko, powierzchnię kafli.
Rażno zabrał się do roboty — prze-
czyścił ruszt, pokutłwał na nim drobne
kawałki drewna, potem grubsze, wyjął
pudełko zapalek, ale kiedy je otworzył,
znalazł w środku wosk nalany tam
przez „Wąsika”, więc zerknąwszy nie-
spokojnie w stronę drzwi, schował to
pudełko i wyjął właściwe: podpalił
drewno, odczekał żeby dobrze zaję-
ło i począł spać do pieca węgiel, smo-
ła się przy tym niemilobnie.

Dopiero teraz mógł dokładnie przy-
rzeć się otoczeniu. Ciekawość go tu
wszystko i dziwiło — piękne meble,
niektóre zresztą takie, że nie wiedział
czemu służą, toteż próbował na nich
siadać, dotykał delikatnie dłonią ich
powierzchni i ani się obejrzał, jak
wciągnął się w te zabawy, zapominając
o bożym świecie. Krawał wśród sprze-
tów, lamp z białymi kloszami, wśród

cieniułka materia jej naga skóra i
piersi, i szereg innych rzeczy, ale już
się nie bał, więc tylko zawstydził się
trochę, a ona to widziała i patrzyła na
niego tak jakos dziwnie, i ciągle się
uśmiechała... chociaż teraz to był już
inny uśmiech, trochę taki, jak tej
dziewczyny w noc, kiedy próbował ją
pocałować, a ona uciekała; więc ta ko-
bieta teraz uśmiechała się tak samo,
albo prawie tak samo i ciągle mówiąc
te swoje niezrozumiałe słowa, otwierała
pudełeczka, i słoiki, i butelki, coś tam
na siebie wylewała i smarowała czymś
twarz, a potem pomalowała sobie usta
i zanim się spostrzegł, pocałowała go
w brzech... tak, w brzech — w to
miejsce, gdzie nad spodniami miał roz-
piętą koszulę, bo tam brakowało guz-
ka... więc, jak zobaczył, że w tym
miejscu ma odcisnięte czerwone usta,
a może nawet wczesniej, kiedy
jeszcze czuł te usta na swojej skórze,
zaczął się znów trząść, ale teraz trząśił
się gdzieś w środku, tak, jakby mu
było zimno, chociaż wargi miał białe
i suche, jak od gorączki, więc obliżył
je ciągle i patrzył, jak ta kobieta
wstaje z taboretu, odchodzi na bok
i stojąc do niego tyłem, zsuwa z siebie
to przezrocyste odzienie, a potem od-
wraca się przodem i tak strasznie po-
woli idzie w jego kierunku, i jest
całkiem naga, tylko, że nie mówi nic
teraz, uśmiecha się i głośno oddech: a
on stoi i patrzy na nią, i widzi, jak
ona jest już przy nim, jak rozpina mu
koszulę, a potem przyciska te swoje
piersi i twarz do jego skóry i biorąc
jego rece, każe się nimi objąć, tak, że
czuje pod palcami jej plecy i widzi w
lustrze te palce, czarne od sadzy, jak
dotykają jej skóry, potem suna po niej
w dół, zostawiając brudne ślady i po
chwilu nie widzi już tego, tylko hiegnie
do drzwi, a kobieta stoi krzycząc za
nim ze śmiechem — Du, dum! — a on
wybiega z pokoju i nie słyszy już jej
coraz głośniejszego śmiechu...

Biegł, potrącając ludzi, jakby go kto
gonił i nie mógł się zatrzymać, choć
coraz bardziej brakowało mu ich i
twarz nabrzmiewała od wysiłku, ale
nogi poruszały się same; więc obliżył
spieczone wargi i potykając się
coraz częściej, wpadł w końcu w osie-
dle, a znalazłszy się w sieni domu, u-
padł na podłogę i leżał nie mogąc zła-
pać równego oddechu, aż zjawił się
„Wąsik” i ci czterej, i postawili go
pod ścianą. Stoi więc teraz dysząc kie-
sko i patrzy, jak wyjmują on z kie-
szeni pudełko z woskiem, którego po-
wierzchnia lśni dziewczęcą gładkością, jak
ogładają ją w milczeniu i przenoszą
na niego te swoje zimne spojrzenia, a
potem powoli, bez złości zaczyna go
bić po twarzy i jego głowa tańczy go
tło ślany; znosi to spokojnie i tylko
drobne grymasy bólu i krew, która za-
czyna sączyć się z nozdrzy i warg,
świadczą o tym, że zadano mu gwałt.
Dopiero silny cios w podbrzusze od-
biła mu ostrość widzenia i sprawia,
że osuwa się na podłogę. Leżąc już,
słyszy strzępy słów tych pięciu, a po-
tem, w ostatniej sekundzie świadomo-
ści, dostrzega rozplywające się w jas-
nym prostokacie drzwi — icht stopy...

Łódź, marzec 1974.

27 ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI INDII

15 sierpnia Indie obchodzą 27 rocznicę uzyskania niepodległości. W ciągu tego okresu rząd dokonał wielu wysiłków, aby wydobyc kraj z zacofania, jakie pozostało w spadku po władzy kolonialnej.

Podziwianie księki głodu, która niedługo po roku pochłaniała miliony ofiar, w tym drugim co do wielkości zaludnienia kraju na świecie, jest pierwszym i największym osiągnięciem rządu. W tym kraju pełnym sprzeczności i przerażających kontrastów, kraju w którym współczesność graniczy na każdym kroku z odległą historią, kraju, który stanowi wreszcie istny konglomerat ras, religii i języków, jest to osiągnięciem zasadniczej miary.

Poprawa warunków bytu, wzrost oświaty, w tym również oświaty sanitarnej, sprawiły, że przeciętna długość życia mieszkańców Indii wzrosła w ciągu minionych 27 lat z 32 do 55 lat. Tak ogromny wzrost przeciętnej długości życia, duży przyrost naturalny, bo prawie 13 milionów rocznie, wydłuża w pewnej mierze okres doświadczenia do pełnego zaspokolenia potrzeb ludności. Należy również pamiętać, iż droga rozwoju gospodarczego Indii nie jest drogą prostą i łatwą. Kraj ten nawiedzają ustawicznie klęski żywiołowe, w zależności od terytorium, bądź też w postaci długotrwałych susz lub ulewnych deszczy i powodzi.

Tylko z tych względów w okresie ostatnich trzech lat, rząd zmuszony był rozdać zboże około 90 milionom ludzi i dać pracę dalszym 130 milionom, by ratować ich od głodu. Te liczby wystarczają by uprzytomnić i zrozumieć gigantyczne rozmiary problemu, z którym na co dzień ma do czynienia rząd indyjski. A przecież walka o byt nie toczy się w próżni. Nawarstwiająca się trudność gospodarcza staje się przyczyną kryzysu politycznego. Indie preferują politykę tolerancji, głoszą swobodę dla wszystkich poglądów i wszystkich sił społecznych, coraz częściej stają się terenem politycznych rozgrywek. Partie opozycyjne, wrogie rządowi Partii Kongresu, na czele którego stoi Indira Gandhi, wygrywiają antagonizmy religijne, kastowe i językowe, by stać zamek w kraju, próbować przechwycić władzę, a przynajmniej doprowadzić do napięcia społecznych, które kompromitowałyby rząd.

W kraju nekającym ustawiczną biedą, gdzie jest jeszcze 130 milionów bezrolnych i 300 milionów analfabetów, wywołanie szowinistycznych zamieszek obojętne na jakimś fle, jest niezmierznie łatwe. Walkę można wszcząć o wszystko i o nie — o święte krowy, których jest 220 milionów, o zaginiony włos Mahometa, przeciw monopolowi języka hindi; o sprawy największe i najgłupsze i zmobilizować można tłum i rzucić przeciw policji, a ta choćby tylko w obronie własnej zmuszona będzie bić się i strzelać. Obrany więc system demokracji parlamentarnej, którym szczerą się Indie, godzi w jego najważniejsze interesy i osłabia władzę rządu.

Polityka zagraniczna Indii zyskała powszechne uznanie na świecie. Od wielu lat Indie są jednym z przywódców ruchu państw niezależnych. Utrzymują bliskie stosunki ze Związkiem Radzieckim, i innymi krajami socjalistycznymi. Przed kilkunastu dniami miała właśnie trzeci rocznicę podpisania historycznego Układu o Przyjaźni i Współpracy między Indiami a Związkiem Radzieckim. Bardzo dobre stosunki w wielu dziedzinach łączą Indie z Polską. Eksportujemy do tego kraju nie tylko dużo gotowych wyrobów, ale również kompletne zakłady wytwórcze, otrzymując w zamian wiele surowców potrzebnych naszej gospodarce.

Indie są rzecznikiem normalizacji stosunków na subkontynencie azjatyckim i dążą do pokojowego uregulowania wszystkich spornych problemów z Pakistanem, zgodnie z układem indyjsko-pakistyjskim z Smitli. W ciągu minionego roku umocniły przyjazne kontakty z krajami sąsiednimi, zwłaszcza z Bangladeszem, Birma i Nepalem.

Na forum ONZ Indie lansują politykę, w myśl której Ocean Indyjski powinien pozostać strefą pokoju i współpracy. Z tych też względów stanowczo przeciwdziałają się amerykańskiemu niekłótni budowy na wyspie Diego Garcia bazy morskiej, wchodzącej ze strategicznego punktu widzenia do obszaru odpowiedzialności do niepodległych kontynentów i stać się źródłem niebezpiecznych napięć międzynarodowych.

JAN T. JANICKI

Kioto — spore współczesne miasto, duchowa stolica Japonii, skarbiec jej tradycji, źródło jej żywotności. Gdy spytać Japończyka, jakie miejsce w kraju uważa za „najbardziej mile jego sercu”, gdzie by się czuł jak u siebie w domu, zawsze i niezawodnie odpowie: „Kioto”.

Ale miasto to, nie tak znów wielkie, musiało sobie znaleźć własne miejsce w życiu współczesnej Japonii, chroniąc jednocześnie nieprzemijające skarby przeszłości. W starożytnym Kioto znajduje się, na przykład, największe w kraju centrum badań futurologicznych.

Powstałe w VIII wieku, zostało zaplanowane i zabudowane według zasad chińskiej geometrii: w kształcie czworoboku. Pałac cesarski usytuowano w jego północnej części, ale tron monarchy był zwrócony frontem na południe, tak, żeby zachód i wschód znajdowały się odpowiednio po prawej i lewej stronie tronu. Do 1868 roku epoki Meidzi, w rządzie japońskim ministrów „prawej” i „lewej” linii określano nie wedle ich poglądów politycznych, jak to jest przyjęte wszędzie, lecz w zależności od tego, po której stronie od cesarza zasiadali.

PRZESZŁOŚĆ I TERAZNIEJSZOŚĆ

Czasy się zmieniły. W Kioto pojawiły się budowle w najnowocześniejszym stylu architektonicznym, ale miasto nadal zachowuje kształt czworoboku. Od północy, wschodu i zachodu chronią go góry, od południa graniczy z morzem.

W Kioto, między IX a XIII wiekiem, powstały arcydzieła japońskiej literatury klasycznej, tutaj narodziło się japońskie malarstwo. W owej epoce odnowy buddyzmu przejawiało się szczególne zainteresowanie barwnym rysunkiem. Artyści ilustrowali niezliczone opowieści religijne, przełotne zdarzenia historyczne i pouczające przypowieści obyczajowe.

Muzeum Narodowe w Kioto wspaniale i gromadzi przedmioty sztuki, tworzone na przestrzeni wieków przez przedstawicieli przeróżnych szkół i kierunków, których arcydzieła spotyka się dziś często w wielkich świątyniach buddyjskich.

Dzięki górcom, lasom, mnóstwu rzek i bliskości morza powietrze w Kioto jest czyste i zdrowe dla płuc. A jeszcze i dlatego, że domy w starych dzielnicach miasta, otoczone troskliwą opieką państwa, są drewniane, niewysokie, każdy z uroczym, miniaturowym ogródkiem, cieszącym oko przechodnia.

Filizanki Raku — ich formę kopiuje współczesny rzemieślnik-artysta Onisaburo, malując je w kwiaty o mocnych barwach — symbolizują niejaką uroczystą ceremonię picia herbaty. W Kioto, w każdej świątyni, wczeka w wieku od 10 do 20 lat. Na herbatę zaprasza się kilku przyjaciół — nie więcej niż 4 lub 5 — żeby wszyscy razem, mogli doznać rzekomo kontemplacji w towarzystwie drogiego sercu przyjaciół. Zaproszeni siadają po japońsku na słomianych matach, „tatami”, wokół tłoczonego płomyka z węgla drzewnego. Nad nim, na trójnogu — czajnik z brązu. Wszyscy w głębokim milczeniu słuchają bulgotania wrzacej wody. Po pewnym czasie gospodarz rozkłada bambusową matę, ustawia na niej filiżanki i napienia je wrzątkiem.

Dziś malarstwo, podobnie jak i literatura, stały się przedmiotem handlu, dlatego wielu artystów i pisarzy mieszka i pracuje w Tokio. Jednakże miłośnicy i kontynuatorzy starożytnego rzemiosła: garnarze, tkacze, artyści malujący na jedwabiu i wyrobach z laki, mieszkają w Kioto.

Sens rytuału picia herbaty, szczególnie kultywowany do dziś w Kioto, polega na tym, żeby w zupełnej ciszy usłyszeć głos wiatru, lub jakimkolwiek kolorem, światłem, lub jakimkolwiek pięknym przedmiotem: filizanką, rysunkiem, czy bukietem kwiatów.

Z wielkim szacunkiem traktuje się tutaj zarówno tych, którzy kultywują tradycję, jak i tych którzy wprowadzają nowatorstwa. Miasto modernizuje się z roku na rok i nie odczuwa przesady nazwane go miastem nowoczesnym. Nawet przepięknych świątyni nie można uważać za starożytne, ponieważ sięgają XVI wieku. Kinkaku, Złoty Pawilon, wybudowany w końcu XIV wieku spłonął w 1949 roku. W Srebrnym Pawilonie znajduje się makieta pierwszego klasycznego domu japońskiego — a nawet bez ozdób, ściany z ubitej gliny, podłoga całkowicie pokryta matami, korytarz-wieranda wokół całego budynku, rozstawane drzwi, drewniana rama z napiętym na niej przezroczystym papierem. Świątynie są prawdziwym muzeum japońskiej architektury.

KARIERA W TOKIO — LAURY W KIOTO

W buddyjskich klasztorach Kioto istnieje do dziś surowa tradycja: nowicjuszy przychodzi pieszo, z torbą na plecach. Ma w niej ubranie, notatkę z adresem domowym, trochę pieniędzy na opłacenie pogrzebu, jeśli by w drodze wydarzyło mu się jakieś nieszczęście i kilka filizanek. Stając twarzą przed wrotami klasztoru prosi skromnie o przyjęcie go w poczet kapłanów Buddy. Spod bramy jest brutalnie przepędzany, żeby sprawdzić, na ile poważna jest jego decyzja. Jeśli wciąż upiera się przy swoim i z górką czeka na odpowiedź, po trzech dniach pozwala mu się wejść do klasztoru. Ale tam jeszcze przez dalsze cztery dni będzie siedział twarzą do ściany — jest to już ostatnia próba.

Nieustannie nawiązywanie do tradycji, co widać szczególnie w Kioto, nie hamuje „procesu estetyzacji”. Wprost przeciwnie, wysokie wymagania stawiane przez Kioto wszystkim rodzajom sztuki wykształtowały w narodzie japońskim nienaganny smak artystyczny. Nawet najbardziej współczesne wyroby wyróżniają się niezaprzeczalnymi walorami estetycznymi.

Gwałtowny rozwój Tokio po 1945 roku odbił się niewątpliwie i na kulturalnym życiu Kioto. Większość wytwórni filmowych, wielkich wydawnictw, pisarzy — usadowiła się obecnie w Tokio. Tutaj też organizuje się największe wystawy artystyczne.

Ale Kioto pozostaje nadal świątynią japońskiej sztuki teatralnej. Autor może zrobić karierę w Tokio czy Osace, ale wieniec laurów będą mu wręczać w Kioto. Kultury nie można oddzielić od wykształcenia i w tej dziedzinie miasto to również cieszy się ogólnym autorytetem. Uniwersytetów nie ma tu więcej, niż w innych miastach Japonii, ale młodzież pragnie się kształcić właśnie w Kioto. Miasto to dla wielu Japończyków jest zawsze Świętym Miastem.

JERZY CZECH

KIOTO ŚWIĘTE MIASTO JAPONII

Słynni kiotańscy garnarze osiedlili się wokół świątyni Klemidzu i właśnie ich wyroby wyrażają istotę japońskiej sztuki — dążenie do prostoty, dokładności, zachowania charakteru materiałów.

USLYSZEĆ GŁOS WIATRU

Przykładem holdowania tym zasadom jest na przykład naśladowictwo filizanek do herbaty Raku z końca XVI wieku. Wykonane z pospolitego materiału, mają nieco prostą formę, nieczystą linię i wykończenie jak gdyby nieprecyzyjne, ale wszystkie te elementy razem wzięte sprawiają owo wrażenie wyjątkowo prostej, właśnie to, co wyróżnia te słynne filizanki. Wyrobów nie pokrywa się w całości laką, żeby uwidocznić naturalną fakturę materiału.

Filizanki Raku — ich formę kopiuje współczesny rzemieślnik-artysta Onisaburo, malując je w kwiaty o mocnych barwach — symbolizują niejaką uroczystą ceremonię picia herbaty. W Kioto, w każdej świątyni, wczeka w wieku od 10 do 20 lat. Na herbatę zaprasza się kilku przyjaciół — nie więcej niż 4 lub 5 — żeby wszyscy razem, mogli doznać rzekomo kontemplacji w towarzystwie drogiego sercu przyjaciół. Zaproszeni siadają po japońsku na słomianych matach, „tatami”, wokół tłoczonego płomyka z węgla drzewnego. Nad nim, na trójnogu — czajnik z brązu. Wszyscy w głębokim milczeniu słuchają bulgotania wrzacej wody. Po pewnym czasie gospodarz rozkłada bambusową matę, ustawia na niej filiżanki i napienia je wrzątkiem.

OGRÓD PIASKU I MCHU

Kioto słynie także ze swoich cudownych ogrodów. Ale są także i miejsca, w których nie widać ani trawy, ani kwiatów, ani drzew — nic, tylko piasek, codziennie pieczołowicie równany, a na nim piętnaście kamieni. Jest to ogród piasku. A w ogrodzie odmiat i bącznicę, piękne mchy w bogatej gamie kolorów i odcieni. Jest to typowo japoński ogród — z zewnątrz prosty, zwykły, skromny, ale w swej wewnętrznej strukturze niezwykle urozmaicony. W dużych ogrodach publicznych z wodnej tafliziora wyrastają sztuczne wyspy z brzegami w kształcie hieroglify symbolizującego serce.

To, że Kioto w ogóle istnieje, jest prawdziwym cudem, jeśli wspomnieć, ile razy w ciągu swej długiej historii było grabione i palone. Na szczęście udało się miastu uniknąć bombardowań podczas ostatnich wojen światowych. Po każdym kataklizmie to niezwykle miasto odradzało się z ruin i zgłiszcz.

38 PREZYDENT USA I CYPRYJSKIE KOMPLIKACJE W NATO

Sierpień nie szczędzi wydarzeń. W drugim miesiącu urlopowego szczytu zmienił się prezydent Stanów Zjednoczonych i rozgrywa się dramatyczna walka o Cypr. Tym więc wydarzeniem trzeba poświęcić dzisiejszy komentarz.

9 sierpnia zaprzysiężony został Gerald Ford jako 38 prezydent USA. W szczególnych okolicznościach w ciągu 10 miesięcy awansował kolejno na dwa najwyższe szczeble hierarchii państwowej USA — wiceprezydenta i prezydenta. Złożoność amerykańskiej sytuacji wewnętrznej spowodowała że nie uczestniczył on w żadnej kampanii wyborczej. Kiedy w październiku 1973 roku zrezygnował z wiceprezydentury Spiro Agnew — Nixon mianował Forda na to stanowisko. Nikt nie sądził wówczas, że tamta decyzja otworzy mu szybko drogę do stanowiska szefa państwa. Ale tak właśnie się stało w wyniku dymisji Nixona, podyktowanej wyłącznie względami wewnętrznymi (afera Watergate) i nie mającymi żadnego związku z polityką zagraniczną Waszyngtonu.

Kim jest 38 prezydent Stanów Zjednoczonych? Marynarzem z okresu II wojny światowej, adwokatem z zawodu, kongresmanem o 25-letnim stażu w Izbie Reprezentantów, politykiem „optymizmu i kompromisu”, jeśli zapoży-

czy określenie od jednego z amerykańskich komentatorów. Liczy sobie 61 lat i przypatrywał się z bliska działalności trzech prezydentów. Jak sam powiedział — nie daje to wprawdzie dostatecznej praktyki, ale dobrą orientację.

Jednym z pierwszych kroków nowego prezydenta było wykazanie, że w polityce zagranicznej nastawia się na pełną kontynuację dotychczasowej linii Waszyngtonu. Wystawił wielce pochlebną opinię Kissingerowi i oświadczył, że współtwórca obecnej polityki będzie również jego sekretarzem stanu. Napisał listy do szefów państw, potwierdzające, że w polityce USA nie nastąpią żadne zmiany... Zresztą wcześniej — jeszcze jako wiceprezydent — wspierał jednoznacznie działalność zgraniczną swego poprzednika. Przed dwoma miesiącami podkreślał, że prezydent Nixon zapoczątkował i realizował śmiało politykę którą „zapisze swą kartę w historii”, a w przemówieniu przed oboma izbami Kongresu, w trzy dni po objęciu urzędu prezydenckiego, stwierdził:

„W stosunku do Związku Radzieckiego zapowiadamy kontynuację naszego zaangażowania na rzecz kursu z ostatnich trzech lat... W erze termojądrowej nie może być alternatywy dla pozytywnych i pokojowych stosunków między naszymi narodami”.

Z lektury dziesiątków dzienników i tygodników wynika, że żaden z komentatorów nie ma wątpliwości co do niezmienności amerykańskiej polityki zagranicznej. Pewne znaki zapowiedzi pojawiają się natomiast przy polityce wewnętrznej. W swoim przemówieniu w Kongresie Ford powiedział, że gdziekolwiek był jako wiceprezydent — w 40 stanach i na 55 konferencjach prasowych — wszędzie Amerykanie niepokóli się przede wszystkim inflacją. Jak zamierza jej przeciwstawić się nowy prezydent? Powszechnie przypuszczają, że działać będzie energiczniej niż Nixon, który poprzestawał na apelach.

Ford rozpoczął swą prezydenturę w okresie poważnego konfliktu cypryjskiego — w okresie: po inwazji wojsk tureckich, załamania się trójstronnych rozmów i wznowienia walk na Cyprze. Stanął w obliczu sytuacji: kiedy dwaj członkowie NATO: Grecja i Turcja znaleźli się na przeciwstawnych biegunach, a Grecja — co więcej — podjęła decyzję o wycofaniu swoich wojsk ze struktury militarnej Paktu Atlantyckiego. Zasugerował spotkanie w Waszyngtonie premierów ateńskiego rządu, ale ten propozycji nie przyjął.

W chwili, kiedy przygotowujemy komentarz do druku, na Cyprze obowiązuje zawieszenie broni, o które apelowała Rada Bezpieczeństwa. W

tym momencie w znacznie korzystniejszej sytuacji znalazła się Turcja, która głosi, że w wyniku operacji militarnej osiągnęła wszystkie cele strategiczne. „Odtąd — powiedział premier gabinetu tureckiego — negocjacje będą już łatwiejsze”.

Przytaczamy te słowa, ponieważ wypowiedziane zostały w przekonaniu, że Cypr stanie się państwem federalnym z dwiema autonomicznymi republikami, co było właśnie tureckim celem. Ankara zastosowała więc politykę faktów dokonanych, które jeszcze bardziej komplikują sytuację. Utrudni to przywrócenie suwerenności wyspy oraz konstytucyjnego rządu, czego domagają się rezolucje Rady Bezpieczeństwa.

Jak już pisaliśmy na tym miejscu, powodem tragedii Cypru jest jego strategiczne położenie. „Ni-tonacy lońskowicze” — jak mówiono o wyspie w czasie II wojny światowej — jest dogodnym terenem dla baz. Niezależne od Cypru Makariosa nie podobalo się kołom zimnowojennym, które spowodowały zamach stanu i wywołały tym wszystkie dalsze wydarzenia. Gra toczy się więc o wielką stawkę i dotyczy nie tylko Cypru. Ale jak zwykle w takich wypadkach bywa — najbardziej poszkodowani są ci, którzy sami powinni decydować o swoim losie. Wyspa przeżywa tragedię i nawet przy najpomysłiwiejszym i szybkim rozwiązaniu konfliktu — długo będzie leczyć rany.

I jeszcze jedna uwaga — sprawa Cypru wywołuje pewną eskalację wydarzeń w Grecji. Po decyzji Aten o wycofaniu wojsk greckich z NATO nie wyklucza się dalszych kroków, podobnych do tych, jakie podjęła przed laty Francja de Gaulle'a.

W. ŚLAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Wychodzi to słowo ostatnio z mody. Słownik Języka Polskiego określa je zwięźle jako „okres największych upałów letnich”. A jak upałów nie ma, to nie ma kanikuły?

Ponieważ słowo niemodne i mało kto wie, co znaczy, wyjaśnię, że „canicula” to po łacinie dosłownie... pieasek. Dlaczego? Otóż według starożytnych Rzymian tak określano porę roku od 22 czerwca do 23 sierpnia, kiedy to słońce znajduje się w gwiazdozbiore Psia. Ale u nas potocznie kanikulą nazywano okres wakacji, urlopów — słowem lato.

Ta tradycja przetrwała do dziś na przykład w teatrach. Czytamy w informatorze kulturalnym „Kalejdoskop”, że przerwy urlopowe w przybytkach Melpomeny są zaplanowane właśnie w okresie trwającej kanikuły — zaczynają się w lipcu i trwają cały sierpień.

Kurz pokrył dekoracje, wygaszone reflektory wiszą zasnutę pajęczyną jak gigantyczne pajaki, aktorzy na urlopach, widzowie na urlopach.

Dawniej jednak inaczej bywało. Świadectwo temu daje Stefan Turski — zapomniany już aktor i autor sztuk przeznaczonych na popularne sceny. Turski opublikował jeszcze przed wojną

KANIKUŁA

wspomnienia pt. „Gdy Melpomena rzemiennym dyskiem objeżdżała Polskę...” Otóż to. Gdy przygrzało letnie słonko, teatralne ansamble ruszały w objazdy małych miasteczek. Aby żyć, trzeba było grać, a w dużych miastach trudno liczyć na widzów w czasie lata. W końcu XIX wieku Stefan Turski występował w zespolech objazdowych na terenie Małopolski i z tych przygód i doświadczeń napisał po latach urokliwy pamiętnik — wesoły i jakże smutny — jednocześnie dokument aktorskiej roli.

„Właściciel hotelu — pisze pamiętnikarz — chcąc przygotować obiad dla aktorów, zapytuje:

— Szanowny panie, dużo was trupków przyjechało?

Według zdania tego poczciwego człowieka, jeśli całość nazywała się „trupa teatralna”, to poszczególne członki nazywały się „trupki”.

— Dwaście pięć osób — odpowiada.

— Ho, ho, dwaście pięć trupków — to będzie wesoło...”

Ale nie zawsze było wesoło. Czasem krzyżowały się trasy zespołów — aktorzy przyjeżdżali do miasteczek, gdzie przed tygodniem gościł inny teatr, a przecież krążyło ich po Polsce

sporo; czasem z zespołu urwał się pierwszy amant z pierwszą naiwną i cały repertuar diabli brali...

Ślady tych historii odnajdujemy dziś na kartkach pamiętników, pisanych zresztą głównie przez aktorów raczej miernych, którzy nieraz całe życie spędzali w sunącym po polskich drogach „wozie Tescpa”. Był na przykład aktor i dyrektor trupy, Konstanty Lobjok, który do historii polskiego teatru wszedł dzięki jednemu tylko faktowi. Ale też był to fakt nie byle jaki. Otóż w jego zespole debiutowała Helena Modrzejewska.

Gdyby nie Lobjok i jego pamiętnik, nie mielibyśmy żadnej informacji o tym debiucie w Bochni, gdzie dwudziestojednioletnia Helena Opid wystąpiła po raz pierwszy w jednoaktówkach „Biała kamelia” i „Primadonna”. I to właśnie Lobjok w sierpniu 1861 roku „ochrzcił” Helenę Opid i jej męża Gustawa Zimajera nazwiskiem „Modrzejewscy”. Urodzony w Bochni parę miesięcy wcześniej syn Heleny i Gustawa Zimajera — Rudolf, także do nazwiska przyjął po latach, zdobywając sławę w Ameryce jako wybitny budowniczy i konstruktor, Ralf Modjeski — twórca mostów na

Missisipi, Ohio, Delaware, Missouri...

Piękną opowieść o tych wędrownikach po miasteczkach Małopolski napisał niedawno Juliusz Kydryński. Książka o Modrzejewskiej nazywa się „Gwiazda dwóch kontynentów”.

Przed blisko stu laty, bo w 1897 roku, piękna, bajejście kolorową książkę o roli wędrowników aktorów napisał Ignacy Sewer-Maciejowski. „U progu sztuki” nazywała się ta opasła powieść, a losy jej bohaterki pozwalają się domyślać, że pierwowzorem była właśnie Helena Modrzejewska. Ale Sewer znalazł te sprawy z relacji aktorów — upiększone zapewne i nieco uszmiokinowane. W rzeczywistości owe wędrowniki były gorzką koniecznością, jedyną szansą przetrwania w służbie sztuki.

Myślę, że te uwagi o wojach aktorskich przed stu lub osiemdziesięciu laty można pozostawić bez komentarza. Dziś — choć nieraz rozpalają się dyskusje o statusie aktora — wymowa zawarta w pamiętnikach starych aktorów jest dla każdego oczywista.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

ŚRODOWISKO



LEWYM OKIEM

„KANCIARZ”

1. Dwaj mężczyźni kiwali się przy stole i patrzyli sobie w oczy poprzez zawieszony dym tytoniowy, czasem tylko zerkając na wypełnioną do połowy butelkę wódki. Niebawem przyszedł do nich osobnik w skórzanym płaszczu i z ochotą pomógł w zniszczeniu reszty alkoholu, po czym wszyscy trzej opuścili knajpę. Jeden z nich, niejaki Gawełek, nie chciał już pić, przeto udał się do domu, pozostawiając dwaj, tj. osobnik w płaszczu w jodelkę dalsze pół litra w towarzystwie dwóch lewych dziewczyn. Ten w kurcie uprosił kelnera Józefa, aby mu zbiorował rachunek za zakaske do jutra, na co kelner wyraził zgodę. „Mam stówę w kieszeni, szepnął do jednej z dziewczyn, ale nie chcę tamtemu pokazywać”.

Około północy towarzystwo wytoczyło się na ulicę, facet w płaszczu napalił się do omdlenia stonkiem pfiowego z jedną z dziewczyn, ale ta powiedziała, że nie będzie się paprać z golodupcem, wysiadły z koleżanką do taksówki i odjechały.

Właściciel placza w jodelkę pokłował samotnie ulicą, za nim ciągnął osobnik w kurcie.

— Dasz, ty ćmoku, pieniądze, czy nie dasz?! — krzyczał facet w kurcie.

— Nie dam, bo nie mam. Odeczep się belkotaj ten drugi.

— Jak nie dasz, to ci dowalę!

„Kurka” wnerwił się, doskoczył do „jodelki”, chwycił go za kłapy i uderzył w twarz. „Jodelka” wyrwał się i krzycząc „ratunku” puścił się biegiem w stronę dworca. W pewnej chwili potknął się o krawężnik i upadł.

2. Była godzina 0.40 i obywatelka Janiszewska spała smacznie z mężem, kiedy nagle zbudziły ją krzyki dochodzące z ulicy. Otworzyła okno, potem okienknie i wychyliła się, ostrożnie lustrując słabo oświetlony teren. Najpierw spostrzegła, że osobnik w kurcie skozył na leżącym, bijąc go i kopiąc oraz przeskakując kieszonki; z ręki wypadł mu na chodnik banknot, leżący chciał go odnieść, ale łamten kopnął banknot, chwycił go ponownie i schował; siadł na leżącym i zaczął uderzać jego głowę o mur. Janiszewska ujrzała krew na twarzy białego mężczyzny, podniosła krzyk:

— Milicja! Milicja, na pomoc!

Usłyszawszy ten krzyk facet w kurcie wstał, skrył się pod ścianą i wrzasnął w stronę leżącego:

— Do roboty, cholero, się weź, a nie porządnych ludzi napadać i rabować!

— Calkiem zgłupiałam i zaniemówłam — wyznała potem Janiszewska — bo przecież to on był leżącym! Gdybym nie widziała całego zajścia, byłabym święcie przekonana, że był ten leżący...

3. Dwaj milicjanci z patrolu nocnego i członek ORMO usłyszawszy krzyk, pobiegli w stronę, skąd on dochodził i ujrzał podnoszącego się z ziemi mężczyznę o zakrwawionej twarzy. Był to obywatel J. K., który zanadto, że pobili go i zabrał mu sto złotych stonkę obok „Kanciarza”. Ten zaczął uciekać, ale donadł go członek ORMO; jeden z milicjantów dokonał błyskawicznej rewizji i znalazł w kieszeni „Kanciarza” zmietły banknot stułotowy. „Kanciarz” zapewniał gorąco, że ten banknot należy do niego, a kiedy milicjanci nie zwracali na to uwagi, zaczął krzyczeć: „skurwysyny, rabują i mordują”, orzy czym stawał tzw. bryczmy onó i nadal bluzną na władze. Dzięki zastosowaniu chwytu milicyjnego został jednak doprowadzony do najbliższej portierni i na podstawie dokumentów zidentyfikowany.

4. Obywatel J. K. nie jest żadnym moim kolegą i nie płem z nim wódki — protestował „Kanciarz”. — Ja go znam tylko z widzenia.

Okazało się jednak, że zna go, i to od dziesięciu lat, bo mieszka w tym samym domu, i że w tym dniu nikt nie widział u niego banknotu stułotowego. Mimo to „Kanciarz” zeznał przed sądem, że on nikogo nie napadał. Wprost przeciwnie — to jego napadli milicjanci, a członek ORMO nawet zabrał mu zbroję. Trzeba było go oddać badaniom psychiatrycznym, które wykazały niedorozwój umysłowy, co jednak nie mogło wplynąć na zarządzenie wyroku, bo „Kanciarz”, czyli Michał F. tor, niedawno opuścił więzienie po odsiedzeniu pięcioletniego wyroku. Jako ojciec niecierzą dzieć otrzymał kiedyś mieszkanie, ale dzieci nie wnieśli do niego; wszystkie przebywały w Domu Dziecka. Mieszkanie służyło innym celom. „Kanciarz” mieszkał tam z przyjaciółką, która w końcu uzbili i wyrzucił; druga, gdy jej mał siedział w więzieniu, sprządał podstępem, znokautował i musiał do odbycia stosunku; później zmienił dziewczynę codziennie i urządził orgie seksualne.

„Co się tyczy” ob. J. K., to myśli on teraz, że czasem wódka jest dobrym kumplem na strapienie, ale kumpel do wódki już nie bardzo pasuje, zwłaszcza gdy siedzi w nim dusza „Knciarza”. Dostać w mordę za własne pieniądze to żaden interes...

JAN GONTAL

I NA NASZEJ ULICY

W myśl starej maksymy — nie bładzi tylko ten, kto nie robi. Złotliwi — poza tym mówią jeszcze, że poglądów nie zmienia tylko krowa, bo lech nie ma. Jest oczywiście słuszność w tym powiedzeniu, gdyż nie można zmienić tego, co nie istnieje. A więc raczej pomówmy o bledach, jakie popielniają ci, którzy coś robią. Te błędy spróbował wytknąć nam pewien wrocławianin, który — jak się sam przyznaje — często bywa w Łodzi i nie wszystko mu się w tym mieście podoba.

„Gdyby Łódź miała kilka meczetów — pisze ów wrocławianin — lub jeden duży, byłaby atrakcją dla Europejczyków i Azjatów. Europejczycy oddychaliby tu Wschodem, a Azjaci — Zachodem. Dla mnie jednak Łódź jest więcej azjatycka niż europejska, a składają się na to następujące przyczyny: 1. Budownictwo nowe i stare, 2. Niechlujstwo zarówno sanitarne jak i administracyjne, czyli to magistrackie.”

Przynajmniej, że jest to pogląd wiele oryginalny. Nigdy nie wpadlibym na coś podobnego i nie posadził miasta, w którym żyję i pracuję, że jest azjatyckie. Mogłbym wprawdzie obrazić się na wrocławianina, że zamiast zajmować się sprawami Wrocławia, wypisuje bzdury o Łodzi i miałbym tę sprawę „z głowy”, ale to — moim zdaniem — żadna metoda. Udawanie, że czegoś nie ma, kiedy to coś istnieje i funkcjonuje, to — dla mnie — chowanie głowy w piasek. To tak, jakby po pokoju, w którym siedzimy, skakała żaba, a my wszyscy udawalibyśmy, że tej żaby nie ma.

O Łodzi ludzie mówią różnie. Znam pewnego warszawiaka,

który chętnie tu przyjeżdża, bo odnajduje na ulicy Piórkowskiej fragmenty, starej, przedwojennej Warszawy. Dla nas nie wielkie to pocieszenie, ale fakt pozostaje faktem. Są i tacy, którzy chętnie tu przyjeżdżają, bo odszukują tu ślady swojej młodości z pierwszych lat po wojnie, kiedy — jak to się mówi — Łódź pełniła obowiązki stolicy. Ale są też i tacy, którzy przyjeżdżają do Łodzi po latach — zdumieni są zmianami, jakie zaszły w mieście, a do których myśmy przywykli i których nie dostrzegamy.

Wrocławianinowi nie podoba się na przykład to, że brudno jest w halach targowych przy placu Niepodległości oraz że przed „Uniwersalem” wiejskie baby sprzedają jajka i pietruszkę. A komu to się podoba?

Nie podoba mi się również i to, że nikomu z handlowych władz miasta nie przychodzi do głowy, aby zastanowić się nad przyczynami sytuacji, dla której głównie obok „Delikatessów” lokują się wiejskie przekupki, uzupełniając swoją działalnością handel państwowy. Ale to sprawa nie tylko łódzka, bo zdarzało mi się spotykać drobnych handlarzy i w Warszawie pod domami towarowymi „Centrum”.

Wrocławianin — jak twierdził — często bywa w Łodzi i wiele mu się nie podoba. Chciałbym zwrócić uwagę, że łodzianie też jeżdżą, oraz mają otwarte i umieją porównywać. Ale żeby oddać sprawiedliwość ludzi do Łodzi przyjeżdżają również i tu podpatrują pewne rzeczy i szukają nowych rozwiązań. Żyjemy przecież w czasach, kiedy świat coraz bardziej się kurczy, kiedy wiele spraw dzieje się na oczach milionów

ludzi, a pośredniczy temu telewizja. Dziś już nie tylko podróże kształcą, bo możliwość porównań i podpatrywania, co i jak robią inni, stała się ogromna. Więc podpatrujemy.

Pożytek z podpatrywania nie polega jednak na tym, aby i u siebie robić tak, jak to robią inni, ale na tym, aby robić jeszcze lepiej. Oto w Poznaniu w rekordowym tempie wybudowano hotel „Polonez”. Wszyscy chwaliłi poznańskich budowlanych i łodzianie mogliby powiedzieć: my również wybudujemy w takim samym tempie. Zapewne, w stosunku do tempa łódzkiego będzie to rekord, ale przecież nie tylko o to chodzi. Według mnie postęp byłby wtedy, gdyby łódzcy budowlani powiedzieli: my wybudujemy jeszcze szybciej niż w Poznaniu i jeszcze lepiej. I wtedy byłby największy pożytek z podpatrywania tego, jak to pnaucniają inni. A więc nie powielanie, a twórcze rozwijanie osiągnięć innych decyduje o postępie.

Mamy w łódzkim budownictwie już ładne sukcesy, mamy też i niedociągnięcia, ale robimy i musimy robić jeszcze więcej. Zdajemy sobie z tego sprawę. Mamy świadomość celów, nie zawsze jeszcze mamy właściwe środki dla ich osiągnięcia. Łódź jest obecnie miastem, które zmienia swój kształt. Jest to proces długotrwały, choć czyni się wszystko, aby go znacznie skrócić, aby przyspieszyć, gdyż łodzianie są niecierpliwi i bardzo chcieliby widzieć swoje miasto już nowoczesnym. Buduje się jednak nie na rok i dwa lata, buduje się na dziesięciolecia i dlatego niecierpliwość jest w budownictwie nie zawsze dobrym doradcą. Musimy więc być cierpliwi, bo lepiej kilka razy przerabiać projekt niż postawić budynek, który po latach nie będzie pasował do całości.

Wspominam o tych sprawach dlatego, aby udowodnić wroc-

ławianinowi, który przysłał do redakcji list z krytycznymi uwagami, że my sami widzimy znacznie więcej i zapewne ostrzeż, że nie wszystko nam podoba się w Łodzi, a z tego niepodobania się bierze się dążenie do przebudowy miasta, do nadania mu nowoczesnego kształtu.

Nie obrażam się więc, kiedy czytam w liście wrocławianina: „Szaryzno, niechlujstwo myślowe czyli gospodarze, brak wyobraźni towarzyszą mi w Łodzi na każdym kroku”. A nie obrażam się dlatego, że my też nie jesteśmy zadowoleni z kształtu architektonicznego wielu naszych osiedli, że sami widzimy, cośmy tu w Łodzi źle robili i w miarę naszych możliwości staramy się te błędy usuwać i naprawiać.

Wdzięczny w gruncie rzeczy jestem wrocławianinowi za list z krytycznymi uwagami, dał on bowiem okazję do porozważania o naszych łódzkich sprawach, pozwolił na stwierdzenie, że możemy patrzeć w przyszłość z optymizmem, bo przebudowa Łodzi dokonuje się w okresie, w którym jak nigdy istnieją doskonałe warunki dla śmiały i dalekosiężnych przedsięwzięć. Chciałbym tylko przypomnieć, że stać nas było na rekordowe tempo przy budowie rafinerii w Czechowicach i uznano to za fenomen. Obecnie w rekordowym tempie budujemy Port Północny, w takim tempie wznoszone maszły radiowy w Konstancynie koło Gębina, wybudowano Trasę Łazienkowską, wznosi się i modernizuje fabryki. W warunkach, kiedy przyspieszanie i dobra robota stają się już nie wyczeraniem a codziennością, kiedy rysuje się coraz śmielsze cele dla całego kraju, Łódź nie może pozostać w tyle. I na naszej ulicy zaświeci wkrótce słońce nowoczesności.

MARCIN RODAK

SPORT

NOWY SEZON

W ubiegłą sobotę rozpoczęliśmy nowy sezon piłkarski 1974/75. Obecne rozgrywki toczy się będą o 48 kolejny tytuł mistrza Polski. Piłkarze naszej ekstraklasy nie mieli w tym roku wakacji. Zaraz po zmaganiach na mistrzostwach świata, zaledwie w 10 dni po zakończeniu rozgrywek mistrzowskich i pucharowych, przystąpili do nowej batalii o tytuł najlepszej drużyny w kraju.

Czego spodziewamy się po tegorocznych rozgrywkach? Odpowiedź wydaje się prosta i jasna — oczekujemy dobrego stylu gry. „Srebro” zobowiązuje. Rozmawkowani w dobrej pilce, w efektywnej i efektywnej grze, w uzyskanych przez naszą narodową jedności wyników, mamy prawo spodziewać się wydatnego podniesienia poziomu rozgrywek ligowych. Po prostu nie wypadają już złe grać.

Zapytany w tej kwestii kierownik Wydziału Szkolenia PZPN — Marek Janota stwierdził wcale niedwuznacznie: „Moim zdaniem liga ma szanse grać o wiele lepiej niż do tej pory. Postęp jest wprawdzie widoczny, ale nas on nie zadowala.

Wymagania bowiem wzrosły”. Jakże są zatem warunki utrzymania wysokiej formy i uzyskiwania dobrych wyników? W tej mierze zdania zarówno naszego głównego szkoleniowca jak i trenera Górskiego są jednoznaczne. Spośród wielu różnorodnych czynników mających decydującą o wysokim poziomie gry, jeden jest podstawowy i zasadniczy — chodzi o to, by „ten styl pracy, który towarzyszył przygotowaniom do mistrzostw świata, obowiązywał w dalszym ciągu. Lige wo kluby udowodniły, że potrafią pracować. Teraz należy do maksimum wykorzystywać doświadczenie zdobyte podczas wielu miesięcy żmudnego treningu, który poprzedził występ w RFN. Efekty tego występu nie pozostawiają bowiem cienia wątpliwości, któredyś wiedzie droga do sukcesu”. Zdobytego kapitału doświadczeń nie można stracić, rozmięknąć na drobne w ciulaniu punktów, on musi procentować w pracy ze wszystkimi zawodnikami. Rzetelnemu wysiłkowi w „rozbiciu” formy i kondycji musi towarzyszyć śmiała i odważna strategia, elastyczna taktyka i u-

miejnie ukształtowana ambicja zawodników. Jak w świetle tak postawionych zadań wyglądają efekty? Minęła pierwsza inauguracyjna kolejka rozgrywek w I lidze piłkarskiej. Wynikiem tej serii spotkań było 18 strzelonych bramek, co na pewno dobrze świadczy o umiejętnościach strzeleckich naszych napastników. Jak wynika z doniesień i sprawozdań z poszczególnych spotkań większość z nich stała na względnie dobrym poziomie, niektóre zagrywki były ciekawe i walka toczyła się w dość dobrym tempie. W sumie — widzowie nie mogli specjalnie narzekać na nudę i brak emocji. Ogólnie jednak rzecz biorąc zaprezentowany poziom gry nie może nas zadowalać i należy go przyjąć jedynie pod warunkiem, że jest to dopiero początek pracy i sezonu. Zbyt rażące są dysproporcje w poziomie gry poszczególnych zespołów, zbyt daleko odbiegają od średniej. Wskokcie zwycięstwo odniósł mistrz Polski i tegoroczny zdobywca pucharu — Chorzowski Ruch, którego piłkarze pod wodzą dotychczasowego trenera Michała

Vicana pokonali w pięknym stylu bytomską Polonię aż 4:0. Nie mogli jednak zachwyzić poziomem legionistów. Nie pomogły finezjne zagrania Deyny, nie znajdujące zresztą zrozumienia u jego kolegów. Szczecińska Pogoń po strzale Wolskiego i znacznej przewadze w polu, zaliczyła dwi punkty na swoją korzyść. Pojedynek dwóch górniczych klubów, Szombierki z Górnikiem Zabrze zakończył się wynikiem remisowym 2:2. Na podkreślenie i uznanie zasługuje w tej kolejce spotkań bardzo dobra i ambitna postawa „beniaminków” i ligi.

W ogólnym przekroju spotkań wszystkich drużyn, wyraźnie dominowali nasi kadrowicze. Wprawdzie ich forma nie zachwycała naszych szkoleniowców i trener Górski zadowolony był li tylko z postawy Szarmacha, ale zdecydowanie odróżnił się poziomem gry od reszty kolegów. Wydaje się, że w sytuacji, kiedy w niespełna dwa tygodnie nasza reprezentacyjna jedenastka ma rozegrać na stadionie w Helonkach inauguracyjny mecz z Finlandią o mistrzostwo Europy, i nie będzie zbyt wiele czasu na organizowanie specjalnego obozu szkoleniowego, kluby winny poświęcić znacznie więcej uwagi doszlifowaniu formy przedstawicieli „srebrnej jedenastki”.

TOMASZ LERCKI



BUNT MŁODYCH

„Tylko sam siebie możesz ofiarować...” — ten biblijny, może nieco przydługi tytuł, nosi powieść węgierskiej pisarki Magdy Szabó. Bardzo popularna w swoim kraju, jest także u nas dzięki polskiemu przekładowi jej powieści: „Fresk”, „Sarenka” i „Pilat”. Jeśli nawet ktoś nie zapoznał się do tej pory z jej prozą, to po przeczytaniu najnowszej powieści Magdy Szabó, łatwo zrozumie popularność jej prozy. Książka opowiada o losach trzech rodzin, o losach ludzi z pokoleń starszego i o życiu ich dzieci. Jest to po prostu opisane normalnego życia, na pozór łatwego, spokojnego i bezkonfliktowego. Oczywiście to tylko pozory. Każda postać przedstawiona w omawianej książce uwikłana jest w cały splot konfliktów, zahamowań, wyrzeczeń, niespełnionych nadziei i pragnień. Każdy z bohaterów płaci wysoką cenę za utrzymanie swojego życia w owym pozornym spokoju. Głównym problemem powieści Magdy Szabó jest odwieczny konflikt pokoleń. Młodzi, którzy nie godzą się ze stylem życia swoich rodziców, próbują szukać własnej drogi, własnej recepty na ukojenie swojego losu. Czy ich droga jest słuszna? Czy po latach nie beda tak samo rozoryzy, jak ich rodzice? Autorka nie odpowiada na te pytania do końca. Jedyną rzeczą, która może ich uratować to szczerość w postępowaniu, świadomość własnych dążeń i znalezienie człowieka, który w trudnych momentach będzie umiał pomóc. A to wszystko, jak wiadomo, nie jest takie proste.

Magda Szabó — „Tylko sam siebie możesz ofiarować...” przełożyła K. Pisarska. PIW, Warszawa 1974, str. 167, cena zł 15.

PROZA RADZIECKA

„Bilans wstępny” i „Długie pożegnania” Jurija Trifonowa składają się na tom, który ukazał się obecnie w serii „Współczesna Proza Radziecka”. Nie jest to pierwszy przekład prozy tego radzieckiego pisarza. Czytelnicy, którzy znają już powieści „Student” i „Pragnienie”, czy choćby tom opowiadań „Zamiana”, który ukazał się na polskim rynku czytelnictwem w roku 1971, z pewnością sięgną i po tę książkę.

„Trifonow należy do pisarzy zajmujących się głównie problematyką etyczną. Opisuje ludzi, którzy starają się o zachowanie własnej indywidualności, przeciwstawiając ich tym, którzy żyją tylko pozornie, podporządkowani skostniałym poglądom i utartym zwyczajom”. Tak piszą o radzieckim prozaiku w krótkiej notce wstępnej. Trifonow jest po prostu pisarzem, który przedstawia normalne, codzienne życie normalnych, przeciętnych ludzi. Życie, które co dnia przynosi wydarzenia blane, podobne do siebie, banalne, a które przecież w zasadniczy sposób wpływają na ludzką psychikę, na postawę, na to wreszcie, czy człowiek jest zadowolony ze swojego życia, czy nie. A trzeba jeszcze dodać, że proza Jurija Trifonowa, to lektura, która daje także wiele satysfakcji z czysto artystycznych już względów. Nie pierwszy to zresztą przykład, że współczesna proza radziecka reprezentuje rzeczywiście wysoki poziom.

Jurij Trifonow — „Bilans wstępny”, „Długie pożegnania”, przełożył: Z. Fedeki, PIW, Warszawa 1974, str. 188, cena zł 25.

„TEORIA WIDZENIA”

Władysława Strzemińskiego przedstawiać nie trzeba. Mówiąc dzisiaj o polskiej sztuce nowoczesnej nie sposób pominąć wielkiego wkładu tego artysty i pedagoga, związanego z Łodzią i jej artystyczną uczelnią. „Teoria widzenia” to zbiór wykładów z historii sztuki. Wiadomo, że nie dano Strzemińskiemu katedry malarstwa w Łódzkiej uczelni Wydziału historii sztuki, przedmiot, którego musiał uczyć niekoniecznie wielu artystów. Strzemiński tchnął nowy sens i zrewolucjonizował naukę, nauczył jak akademickiego przedmiotu. Zamiast biografii malarzy przytaczanych opisaniami ich obrazów — analizował ich widzenie malarstwa (...). „Teoria widzenia” nie uczy, jak malować, lecz pokazuje, jak patrzeć i malować — pisze we wstępie do książki Strzemińskiego Julian Przytycki.

Obecne wydanie jest już trzecim z kolei, a zawdzięczamy je Wydawnictwu Literackiemu. Jedynym mankamentem są — ale to już w naszej poligrafii jest niemal regułą — kiepskie reprodukcje. Trzeba jednak na to przyznać, że „Teoria widzenia” powinno się poznać.

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, str. 253, cena zł 55.— Władysław Strzemiński — „Teoria widzenia”

„NOCNY PTAK”

Ulla Ryum — młoda powieściopisarka duńska zadebiutowała w roku 1962 powieścią pt. „Zwierciadło”. „Nocny Ptak”, mikropowieść, którą polskiemu czytelnikowi udebiutowało Wydawnictwo Poznańskie w serii „Dzieła pisarzy skandynawskich”, w Dniu ukazała się w rok później. Jak informuje wydawca, Ulla Ryum ceniona jest w swoim kraju przede wszystkim za prozę dojrzałą i oryginalną. Główną cechą jej twórczości jest wnikliwa obserwacja psychologiczna, liryzm i opisywanie ludzi uwikłanych w konflikty z otaczającym ich światem. Tak jest również w przypadku mini-powieści „Nocny Ptak”. Szamani znowa w Dniu za najlepszą powieść w dotychczasowym dorobku pisarki. Jest to studium kobiety, która przetrwała swoje życie i która z całą świadomością izoluje się od ludzi, żyjąc na co dzień wspomnieniami i własnym światem wewnętrznych przeżyć.

W książce poza „Nocnym Ptakiem” znajdziemy także cykl opowiadań „O dniu wczorajszym”. Losy niewielkiej grupy bohaterów przedstawione są tu z różnych punktów widzenia, i podobnie, jak w „Nocnym Ptaku”, znów są to ludzie samotni, żyjący na uboczu, nie umiejący znaleźć swojej drogi.

Ulla Ryum — „Nocny Ptak”, „O dniu wczorajszym”. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1974, str. 136, cena zł 20.—

„SKAZAŃCY”

Autora „Skazańców” znamy już w Polsce z powieści „Tyton” i „Przygodzin”. Dymitr Dimow, znany w 1966 roku pisarz i dramaturg, z wykształcenia był lekarzem weterynarii. Wykładał także anatomię na uniwersytecie w Sofii. Akcja „Skazańców” dzieje się w Hiszpanii w tragicznych dniach wojny domowej. Jest to niejako podsumowanie sporządzone i przeżyte samego autora z jego pobytu w Hiszpanii. Szeroko nakreślona problematyka społeczno-polityczna, dramatyczne wydarzenia, wreszcie peizaż hiszpański są tu, na którym autor przedstawia nieco swobodniejszą historię miłości młodej, ekstrawaganckiej Angielki i fanatycznego jezuitę z długim i starym artystycznym nazwiskiem.

Powieść ukazała się w PIW-owskim „Klubie Interesującej Książki”. Jak większość tytułów tej serii przyciąga uwagę czytelnika wartka fabuła. Tym razem można przypuszczać, że „Skazańcy” beda się cieszyć szczególną popularnością wśród panów. W każdym razie z czystym sumieniem można tę książkę polecić tym, którzy się dopiero wybierają na urlop.

Dymitr Dimow — „Skazańcy”, przełożyła T. Dąbek-Wirgowa, PIW, Warszawa 1974, cena zł 20.—

WARTO PRZECZYTAĆ

- OWSIANY J. — „Tajemnicze narodzin II wojny światowej” — KIW, cena zł 40.—
- WOJTYŁO J. — „SOS” — Cyt., cena zł 30.—
- NOWAK T. — „Dwunastu” — W. Lit., cena zł 20.—
- PASTUSIAK L. — „Pół wieku dyplomacji amerykańskiej 1898—1945” — PWN, cena zł 64.—
- KULICKI K. — „Tych kilka osób” — MON, cena zł 15.—
- FEDOROWICZ J. — „Porady estradowca” — WAIF, cena zł 22.—

B. M.

FILM SZEPTY I KRZYKI

„SZEPTY KRZYKI” Ingmara Bergmana były najwybitniejszą pozycją ostatnich Konfrontacji. Wówczas rozpoczął się spor, który powrócił fałszywie, gdy film ten, drogą studyjnej selekcji wprowadził, ale trafił jednak znów na ekrany. Spor dotyczy wielkości dzieła i jako taki rozstrzygnięty być nie może, na pewnych płaszczyznach pozostaje bowiem już tylko indywidualna na nią reakcja, a jednoznaczność interpretacji sądów i ocen staje się niemożliwa. Jedno wszakże wydaje się pewne — „Szeptów i krzyków” nikt, również spośród polemistów, nie odbiera jako filmu z katalogu dzieł klasyka ekranu, a więc z szacunkiem często bliższym swoistej bezamiętności. Najnowszy na ekranach naszych film Bergmana porusza myśli i emocje, dając dowód, że twórcą ten pozostaje nadal w gronie tych nielicznych, którzy zdolni są zmuszać ludzi do reagowania własną aktywnością myślenia i przeżywania — wierność jest tu niemożliwa. I nie to właściwie, że będą tacy, dla których „Szeptów i krzyków” pozostaje jedynie dziełem formy doskonałej i banalną bądź tylko powtarzalnością idei. To również Bergman zmusił ich do tej konstatacji, kazał film swój widzieć w konfrontacji ze swą twórczością dotychczasową, w konfrontacji z wiedzą o człowieku w ogóle. To Bergman kształtem swego dzieła pozwolił im tak prosto oddzielić formę od idei,

choć w szkole już nas uczył, iż jest to niemożliwe. W przypadku „Szeptów i krzyków” ta niemożliwość jest zaś absolutna. Piękno tego filmu, sensualna i emocjonalna reakcja na nie, jest nosicielem jego idei — wolania o dobroć i miłość, uczucia rozpięte pomiędzy dwiema formami bytu człowieka, jego fizycznością i istnieniem psychicznym. I choć zawsze było to głównym motywem filmów Bergmana, nigdy dotąd nie udało mu się sprowadzić rzeczy do spraw najprostszych i podstawowych, tak jak to zrobił w „Szeptach i krzykach”, w filmie, którego kształt na pozór zdaje się przeczyć prostocie.

Mówiliśmy kiedyś, że Bergman szuka Boga, potem, że znalazłszy niebo pustym, zaczął przyglądać się bacznie ludziom, że przeraził się nimi i w przeżeniu tym trwał nadal. Może to prawda, nie tylko zresztą o Bergmanie, lecz „Szeptów i krzyków” wnoszą w twórczość jego ton nowy. Bergman nie porzeka na konstatację, choć są one w tym filmie szczególnie dramatyczne. Bergman po raz pierwszy zwraca się do nas wprost z wołaniem, że wskazanym na to, co jest możliwe. By dotrzeć do tego, musiał zainicjować sytuację najostateczniejszą z możliwych — postawił ludzi w obliczu śmierci, jej nieuchronności i jej samotności, wobec niej sprawdził człowieka. Dlatego jego film jest okrutny, chwilami może

nawet obsceniczny. Nie mógł być inny, jeśli mamy patrzeć śmierci w twarz, jeśli ostatecznie ona właśnie ma mówić prawdę o człowieku. I to nie o tym, który umiera, bo nieuniknioną śmierci, przerażając ludzi musi jednak wyzwać zgodę na nią. Obok tej, która umiera, są inni, a groza cierpienia i śmierci jest tylko jednym motywem „Szeptów i krzyków”. On uruchamia następnie, wśród nich ten główny w twórczości Bergmana — motyw związków między ludźmi, obcości i możliwości współzycia i miłości. To krzyk chorej Agnes wywołuje szept jej siostr — Karin i Marii. I te szept są straszne, bo należą do tych, które jeszcze żyć będą, które pozostaną w kręgu swych spraw takie same jak przedtem — trwające w swym egoizmie, nienawiściach, własnej wreszcie rozpaczy. Niezdolne do dobrotliwej miłości, jeśli nawet ułożą umierającej zastępować ją konwenans. Szept siostr są chwilami bardziej przerażające niż krzyk umierającej, stoją one bowiem przed ciemnością straszniejszą niż odchodząca w nią Agnes. Pierwszy raz Bergman mówi o tym, że jest to ciemność wybrana, bo przecież jeszcze zależna od tych, którzy żyją. Szansa na jej rozświetlenie jest zaś chęć bycia dobrą, zdolność kochania innych. Poziada ja w tym filmie służąca Anna, kluczowa dla idei tego dzieła postać. Kim jest Anna? — opiekunką chorej, kobietą, która straciła własne dziecko, służącą odprowadzoną po śmierci Agnes i jedyną w tym gronie kobiet istotą obdarzoną czystym sercem, dobrocią, umiętnością

kochania. Bergman w swym ostatecznym filmie powrócił do bohaterów jednego z pierwszych — w „Słodkiej pieczęci” uratował też rodzinę wędrownych kuglarzy — ludzi prostych, do brych, kochających się.

Komu więc dana jest szansa ratunku, już nie przed śmiercią lecz przed życiem? Czy tym, którzy wierzą w świętość samego życia, czują innych obok siebie, potrzebę własnej wobec nich wierności i dobroci, potrzebę dawania im dowodów swej obecności? Szansa jest w nas samych, lecz tylko wtedy, gdy potrafimy dawać siebie innym, potrzebującym naszej obecności i pomocy, dotyku i gestu — a więc dobroci, jej drugim etapem może być miłość, lecz ta jest darem rzadszym.

Nie ma w filmie Bergmana niczego o czym nie wiedzieliśmy, wiedzę tę jednakże pozwala przetrwać w sposób, który ową świadomość aktywizuje. Służy zaś temu uroda dzieła, w którym Bergman przypomina, że film jest sztuką obrazu. Służy temu ekspresja piękna, zawartego w plastycznej urodzie każdego kadru, w mistrzowskiej inscenizacji każdej sceny dramatycznej, w wirtuozerii aktorskiej gry, w której zaczyna się już granica między sztuką aktora, a sztuką jej inspiratora — reżysera. Służy temu wreszcie ekspresja barwy, której Bergman nie lubił dotąd. Czerwień „Szeptów i krzyków” pozostaje w nas równie silnie, jak to, co z sobą niesie, jest nierozłączną częścią dramatu, w którym nie tylko zagładamy w głąb duszy jego bohaterów.

EWA NURCZYŃSKA

KSIĄŻKA JAK CZYTAĆ BISKUPSKIEGO?

„Nie tylko przeciw metaforze” — książka propozycji z zakresu „metodologii poezji” i poetyckiej „teorii poznania” jest książką trudną i mogącą wywołać odruch irytacji, o ile czyta się ją bez kontekstu estetycznego czy też poznawczego, na obszarze którego dokonuje się znamienne przeorientowanie wiedzy o istocie i funkcji twórczości poetyckiej. Musi nam bowiem towarzyszyć świadomość tego nowego, intuicyjnego, w którym sam w sobie jest tylko uświadamiany ruch myśli, w którym sztuka nowoczesna dąży do określenia swojej specyfiki, swojego statusu i zakresu ważności. Przy tym książka Biskupskiego nie jest zbudowana na zasadzie dyskusji z aktualnie funkcjonującymi wzorami poezjowania, z natury swojej przypadkowości, lecz posiada swój własny i bardzo konkretny cel — dorzucenie i swoich myśli do zbiorowego wysiłku zmierzającego do określenia pojęcia poezji; przemyślenia warunków intelektualnych, które mogą nas przybliżyć do rozumienia, czym w i n n a być poezja w świecie współczesnym. Pisze Biskupski o docieraniu, poprzez zabieg o charakterze metodologicznym czy też poznawczym, do konsekwencji „ontologicznych” utworu, spróbujemy więc, traktując to zlecenie jako drogę postępowania krytycznego, dotrzeć do tychże ontologicznych konsekwencji właśnie w jego książce. Przekonajmy się, czy spełniając swoją powinność krytyczną tak, jak ją każde nam rozumie Biskupski, zdolamy wyprowadzić z jego pracy szereg podstawowych przeświadczeń o naturze działań poetyckich, o ich roli i miejscu w życiu człowieka. Powtórzmy to jeszcze raz: rola krytyki w powyższym ujęciu polega na docieraniu do konsekwencji ontologicznych dzieła. Rozzaniecie to pozostaje zapewne nie bez wpływu refleksji nad aktem poetyckim, w procesie którego docieramy do „korzeni”; korzeni sensu, a więc zasad konstytuujących samo widzenie poetyckie — widzenie świata.

„Bisaz „realnego doświadczenia” — „... w... iorze, jak i w zdaniu wewnętrznym sprzecznym, których autor przecież nie dyskwalifikuje, każe nam upatrywać takich procedur poetyckich, które pozwalają na ujawnienie tej poznawczości w niemożliwym realnym z poezji możliwego, dookreślenie istniejącego nieobecny. A więc nie linearny, ale wielopozomowy, zasadający się na powyższej konfrontowalności charakter tego procesu pozwala na wypracowanie takiego rozumienia poezji, w ramach którego będzie ona funkcjonowała jako septyczna i podejrzliwa, bo podająca podejrzliwym tyłem świat, co siebie samą; a więc swoje własne drogi, swoje własne postępowanie, zawieszająca przy tym prawomocność własnych ustaleń. Zapewne realizuje się w tym owa „nadwyżka estetyczna”, jako właściwość wybitnie poetycka, a która nie jest wszakże niczym innym niż dyspozycyjnością wyobraźni — w wyniku dochodzenia do tego, co realne, poprzez to, co możliwe, lub konieczne. Nadwyżka ta jest przeto dystansem, oddechem, zajęciem stanowiska wobec „rzeczy”.

Wiąże się z tym sprawa następna, mianowicie dyspozycyjności powyższej, powiedzmy teraz potencjalność albo ogólności dzieła, wymaga uzupełniających dopisań, koniecznych dopełnień; jej sens jest sensem zadanym, zaś usytuowany w kontekście utworu — jest zawsze przed utworem. Tym dopełnieniem, czy też wręcz uzupełnieniem brakujących ogólnych w postaci sytuacji nie zapisanych (pamiętajmy, iż autorowi bliska jest teoria przemilczeń Norwida) — zajęcie się winna interpretacja krytyczna. Z metodologicznego bowiem punktu widzenia podstawową jednostką poetycką w systemie Biskupskiego jest konstrukcja operacyjna, którą może być już system dwóch zdań prostych, a także nie wykluczone zupełnie, chociaż niżej notowane zdanie wewnętrznie sprzeczne czy też metafory. Konstrukcja owa, uosabiająca idee sensu zadanego, wymaga — jak już była mowa — dopełnienia, czyli weryfikacji. Sama w sobie nie jest ani prawdziwa, ani fałszywa — jest bowiem przejawem przemienności, transformacji. Uwierzytelnia ją zatem dla nas przykład spełniającej jej warunki, lecz brak takiej „falsyfikacji” w konkretnym czasie i w konkretnych warunkach wcale

nie przekreśla nadziei na ujawnienie się pożądanego okoliczności w innych warunkach, które przecież są historyczne, a więc przypadkowe. Nadzieja ta, wywidczona — ze współczesnej analizy mechanizmów myślenia stanowi przy tym godny uwagi przykład optymizmu krytyka, jest osnową jego „wiary w niezbywalność poezji”.

Modelowanie, w powyższym kontekście, byłoby metodologicznym rozwiązaniem postulatu dopełniania dzieła przy tworzeniu, w akcie interpretacji, konstrukcji usensawiających: dzieło bowiem jest tak zbudowane, iż jest ono jednocześnie apelem do czytelnika — krytyka choćby poprzez to, iż niesie szereg możliwości odbioru, ograniczonych jedynie czasowo określonymi regułami interpretacji; jest „otwarcie” ku sensom możliwym — by użyć metafory Umberto Eco. Modelujące dopełnianie polega więc na wytrącaniu utworu z jego istnienia utajonego, potencjalnego w istnienie rzeczywiste, istnienie „dla nas”; na określeniu funkcji, jaką ma on spełniać w naszym życiu, wyznaczeniu jego miejsca w całokształcie naszych dążeń i aspiracji duchowych. Postąpimy więc zgodnie z wymową obiektywną, jeśli pracę Biskupskiego potraktujemy jako przygotowanie gruntu dla takich działań czy zachowań, wyrażonych implícite, które określile wypadnie jako doświadczenie kultury. Zważmy tylko, skoro w pierwszym zetknięciu z tekstem „Nie tylko przeciw metaforze” nie zniechęci nas metaforyka, to łatwo nam przyjdzie zdobyć przeświadczenie, iż nie jest ona najważniejszym elementem pracy i co najwyżej służy w argumentacji za dowód, a nie za wzór do naśladowania krytycznego. Jest argumentem przede wszystkim „za” — za słusnością prezentowanej metody i uprawomocnia ją; dlatego też w tej części książkę Biskupskiego potraktować możemy jako „wstęp” — wstęp do refleksji krytycznej nad poezją, refleksji polegającej na przejrzeniu uwarunkowań metodologicznych albo wierzytelności „epistemologii” krytyki. Co znów jest zadaniem niebagatelnym, jeśli w pamięci przywołamy wysiłki semiotycznego odłamu „nowej krytyki” frankuskiej.

Jeśli więc wiersz czy poemat jest układem nielinearnym, w którym każdy sens cząstkowy, każde znaczenie odsyła do innych sensów i innych znaczeń

w różnorodnych rzutach i przekrojach, możemy „na przestrzeni jednego wiersza — ujawniać stany wymagające szczególnie dramatycznych wyborów, za którymi nie stoi już skrywana wstydliwie kategoria użyteczności, ale kategoria prawdy w tym jej naturalnym zabarwieniu, w jakim wyloniła się już u zarania dziejów w postaci uogólnionego pojęcia powszechnej sprawiedliwości...”. Możemy tedy traktować wiersz, a ogólniej poezję, jako synonim Markowskiego „bezlitosnego myślenia”, a więc jako czynny sposób sytuacji, jest poety po stronie człowieczeństwa pełnego, uwalniającego się nieustannie od zafalszowań i ograniczeń, które pod każdą szerokością geograficzną i w każdym czasie stanowiły groźbę dla wolności ludzkiej.

Jest wszakże w książce Biskupskiego coś, co przy generalnej słusności zawartych w niej założeniach, budzić może uzasadniony niepokój u czytelnika i wywoływać wrażenie niedosytu. Biskupski mianowicie za bardzo zawierzył filozofii języka, w oparciu o którą realizuje swój schemat komunikacji literackiej. Jest to postępowanie niewątpliwie słuszne, ale zbyt ogólne. Wiadomo przecież, że wypowiedź poetycka jest realizacją w porządku mowy i z analizy właściwości mowy fortunniej byłoby wyprowadzić wzór dla operacji krytycznych, które utożsamiamy z interpretacją; zachowując założenie o przepływie znaczeń na linii autor-czytelnik, ocallyb jednocześnie indywidualności dzieła. Jego artystycznie niepowtarzalny charakter. Pozostaje więc do metodologicznego rozpracowania problem: jak zachować się i jakie ma przy tym obce dzieło, które wysyła znaczenia, a więc stawia opór interpretacyjny — przywykliśmy przecież do bardzo osobistego, intymnego obecowania z wierszem, poematem, książką, obrazem. Utwór artystyczny porusza nas wewnętrznie, modyfikuje świadomość; niesie projekt — nowe rozumienie świata, narzuca nowy wzór życia. To przecież na linii dzieło-czytelnik wytworza się iskra, następuje krótkie splecie; zachodzi w y d a r z e n i e, ale schemat komunikacyjny, wzorowany na teorii informacji, jakby o tym nie wiedząc wysyła je na zewnątrz, poza podmiot percepcji — unieważnia przez to podmiotową interesowność, potrzebę wybitnie przeka, egzystencjalną. Chęć przez to powiedzieć, że od opisu poezji na poziomie konwencji czy stylu nie mniej ważne jest ujęcie jej na poziomie światopoglądu poetyckiego, raczej indywidualnej, a więc tego, co dany utwór wyróżnia od wszystkich pozostałych — niestety, ten aspekt życia utworu pomija Biskupski w dotychczasowych swoich analizach.

MIECZYSLAW KUCNER

MAGAZYN

DOLARY STRACONE NA GRANULKACH

Uczni amerykańscy ciągle udają, że szukają jakby tu zarobku. Ostatnio wyprodukowali granulki, których zażycie powoduje iż widz na smutnym filmie żałuje się zewnętrznemu śmiechu, choć wewnętrznie szlocha. Nasz przemysł farmaceutyczny nie podejmie produkcji powyższych granulki, gdyż nie są one nam potrzebne.

TWORZYWO BEZ PATRONATU

Spółdzielnia Inwalidów Im. Jorda Bajrona prosi nas o patronat nad nową zabawką dla

młodzieży. Jest to mała salka kinowa z plastiku, z ekranem i rzędami krzeselczek. Na

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

nasze niespokojne pytanie, dlaczego na salce nie siedzą widzowie z tworzywa, spółdzielnia odpowiedziała, iż pragnąc obniżyć koszty produkcji zło-

żyła, że grany jest właśnie polski film historyczny. My uważamy jednak, że na sali powinien siedzieć przynajmniej jeden plastikowy członek rodziny reżysera i nie obejmujemy patronatu.

NIESMAK NA SZACHOWNICY

Amerykani szykują się do nakręcenia monumentalnego filmu o życiu szachistów. Z rozmachem rozpoczęto prace wstępne. Skoczkami będą żywe ogiery, królami zostaną abdykowani władcy z zach. Afryki. A damy sprowadzi się z Polski. Oczywiście role pionków zagra klasa robotnicza.

LOKI I UCHO

Pan Maciej P-ski z Nowej Garsoniery tak bardzo kocha Nasz Film Krajowy, że pragnąłby ale się wstydy, przekazać któremuś z Polskich Reżyserów kosmyk własnych włosów oraz ucho. Śmiało, panie Macieju, szlachetnych intencji nigdy nie należy się wstydy! Z przyjemnością prześlemy miłe drobniaki wybranemu przez pana Reżyserowi, którego na pewno szczerze wstydy tak ciepły dowód sympatii.

SAMOCHÓD PCHANY CHCENIEM.

Amerykańska gwiazda filmowa Fry Goldman skonstrowała samochód, który napędzany jest wyłącznie energią erotyczną zawartą w spojrzeńach jej wielbicieli. Samochód jest zrywny i szybki. Jedynie w ostatni wtorek poruszał się bardzo wolno i jakby z wysiłkiem. Jak się okazało, gwiazda tego dnia miała właśnie przysześć. Krótka wizyta u dermatologa natychmiast przywróciła pojazdowi utraconą szybkość.

POWIĘKSZENIA

SPECJALISTA

Reporter „Expressu Ilustrowanego” odwiedził podłózkę Grotnicki. Zdegustowany zaniedbanym przystankiem PKP napisał, że przy torach porozciągane są jakieś druty. Gdyby reporter „Expressu” jechał kiedyś w życiu koleją to by wiedział, że nie są to jakieś druty, ale po prostu ciąg sygnałowy. Jeśli nasz specjalista wybierze się kiedyś na szosę wówczas zapewne napisze: „Wzdłuż drogi sterczą jakieś słupy na których ktoś porozwieszał jakieś druty”...

PIEPRZENIE

Komentator telewizyjny tenisowych mistrzostw Europy był tak zdumiony, że „w walkach finałowych zabrakło prawdziwego pieprzu”. Na szczęście brak ten wynagrodził sprawodawcy.

CIAŁO WRACA DO FORMY...

Zdzisław Szczepaniak opisujący w „Dzienniku Łódzkim” swoje meki na pokładzie jachtu „Odkrywca” pisze: „Ha, trudno — ciepłe ciało. Ale ciało oblezione w ciepłą kurtkę szybko wraca do formy...” Szkoła tylko, że piór nie chce jakos wrócić do formy.

LURKA DRUKARSKA

„Fakty 74” opublikowały fragment powieści Tadeusza Chrościelewskiego. Na końcu tekstu znalazła się adnotacja, że jest to fragment powieści „Lurka Matuzalema”. Zainteresowanym wyjaśniamy, że słowo „lurka” nie jest zrodzeniem od „jury”. Powieść T. Chrościelewskiego nosi po prostu tytuł „Laska Matuzalema”.

CZARNA LITERATURA

W lipcowym „Miesięczniku Literackim” znaleźliśmy opowiadanie Władysława Terleckiego „Czarny blues” i zaraz obok pomał Aleksandra Rymkiewicza „Czarny blues”. W zapowiedziach najbliższych numerów natomiast widnieje proza Stanisława Chacińskiego „Złote koło toczy się czarno”. Czyżby renesans czarnej literatury?

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

U SZCZYTU POWODZENIA

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

W programie mieliśmy wziąć udział wszyscy, tzn. ja, Kasia, Sobczyk, Maciej Kossowski oraz zespół „Czerwono-Czarni”. Miałam przygotowaną moją starą piosenkę „Jimmy Joe” z niemieckim tekstem. Do tego wyjazdu przygotowywałam się bardzo starannie, ponieważ chciałam pokazać się nowej publiczności z jak najlepszej strony. Albek okazał się szalenie uroczą miejscowością, położoną nad morzem, przypominającą trochę nasz Sopot.

W czasie tego pierwszego tournée mieliśmy dość ciekawą przygodę w Schwerin. Otóż tam odbywał się Festiwal Filmowy, przed rozpoczęciem którego mieliśmy dać koncert. To była impreza plenerowa, na której zebrało się strasznie dużo młodzieży.

Nasze dynamiczne piosenki przypadły tak dalece do gustu młodzieży niemieckiej, że trudno opisać, co się działo. To był prawdziwy szal. Spiewałam na zakończenie programu wszystkie swoje najmocniejsze numery. Słychać było tylko krzyk, krzyk i krzyk. Koncert się skończył a rozszalała młodzież wołała nas bez przerwy. W żadnym wypadku nie mogliśmy dostać się do naszego autokaru, a już mowy nie było wcale o rozpoczęciu zapowiadanej Festiwalu Filmowego — nikt nie chciał o nim słyszeć. Na pierwsze słowa prowadzącego programu o Festiwalu, podniosły się takie wrzaski i gwizdy, że ten przerażony uciekł za kulisy. Nie wiem co działo się potem, bo po nas przyjechała milicja i pod jej eskortą odjechaliśmy wreszcie do hotelu. Sama byłam ciekawa, co działo się tam dalej, ale niestety nie znalazłam żadnej wzmianki na ten temat w prasie następnego dnia. „Publiczność była oczarowana występem polskiego, pełnego gorącej krwi zespołu „Czerwono-Czarni” a szczególnie ich solistką — małym rozszalałym krasnoludkiem, Karin Stanek” — tak dosłownie brzmi tłumaczenie jednej z recenzji z prasy w Schwerin.

Muszę przy okazji opisać jak wyglądał mój bagaż, bo zapewne każdy myśli, że wozłam przeróżne kreacje — jak to kobieta. A właśnie nie, miałam bagaż zupełnie nietypowy — jeden strój na scenę, dwie pary spodni na co dzień, gitara, walizka książek, walizka zdjęć i... kuchnia podręczna; ależ tak, naprawdę kuchnia, a dlaczego? Przy nam się szczerze, że jednak jedynie o wiele bardziej smakowało mi w kraju, tournée po NPD traktowałam zawsze jako kurację odchudzającą, wozłam więc ze sobą małą kuchnię elektryczną, garnki, łyżki, talerze, widelce i noże — i gotowałam sobie w hotelu.

Kiedyś w Halle dawaliśmy cykl koncertów. Miałam tam bardzo trudną rolę i przysnam się, że codziennie przed rozpoczęciem swojego numeru nodylałam się ze strachu. Otóż za-

czynałam swój występ na... strychu, tam bowiem zawieszona była drabinka sznurowa długości około 10 metrów. W czasie wstępu do piosenki, w zupełnych ciemnościach, oświetlona tylko punktowo, musiałam zejść po tej drabinie, z wysokości 10 metrów i to tak sobie obliczyć szybkość schodzenia, aby na zakończenie występu zeskoczyć już na scenę, gdzie czekali na mnie dwaj konferansjerzy z kwiatami, którzy mi się oświadczyli. — w myśl piosenki „Szukam narzeczonego”. Denerwowałam się codziennie okropnie, ale publiczność doceniała to i nagradzała mnie za ten wysiłek każdego dnia serdecznie brałam. Któregoś dnia zaplątała mi się noga i nie mogłam ruszyć dalej. W takiej sytuacji człowiek działa automatycznie, wiedziałam, że przecież nikt mi nie pomoże, byłam wystraszona — ale szarpnęłam zdecydowanie nogę i uwolniłam ją. Cała drabinka kołysała się niebezpiecznie, nie mogłam ze strachu trafić na następny szczebel — a tu jeszcze trzeba było cały czas się uśmiechać i patrzeć prosto przed siebie, a nie na nogi. To było straszne. Słyszę, że kończy się występ, a ja jestem spóźniona, mam do podłogi jeszcze około dwóch metrów, musiałam zaryzykować — rekoma opuściłam się troszkę niżej i... skoczyłam. Wstrząsnęło mną potężnie, ale uśmiech na twarzy pozostał — musiałam pozostać.

To chyba po tym programie zwróciła się do mnie jakaś pani z Telewizji Berlińskiej, czy



nie zechciałabym wystąpić w jej programie i wykonać sam taniec na podkładzie beatowym. Rozmieszyło mnie to ogromnie, bo przecież nie jestem tancerką, a to, co robię — to robię zupełnie automatycznie, nie zastanawiając się nad tym, imпровizując. Gdybym miała tylko tańczyć, nie śpiewać i myślałabym o tym, że tu liczy się właśnie tylko ten taniec — to nie jestem pewna, czy dałabym radę. Dlatego właśnie nie podjęłam się tego i niestety musiałam odmówić.

W tym czasie otrzymywałam sporo listów także od niemiec-

kiej młodzieży. Okazało się, że adres mój podano kiedyś w radio. Były to listy miłe i serdeczne, z prośbą o zdjęcie, autograf, nuty piosenek, listy zapewniające o swej sympatii dla mnie i wykazujące naprawdę dużą znajomość mojego repertuaru. Listy przychodzą nawet do tej pory.

W styczniu 1966 r. otrzymałam wiadomość, że zespół nasz został zaangażowany przez Jana Wojewódkę na występy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. A więc wyjazd był murowany. Cieszyłam się naprawdę bardzo, byłam ciekawa tej Ameryki, o której tyle słyszałam.

„Batory” odbijał wolniutko od brzegu, pozostawiając na lądzie tłum płaczących i machających chusteczkami ludzi — wielu z nich żegnało swoich bliskich, mieszających stałe w Ameryce, może na zawsze? Smutny to był widok, było mi przykro, wołałam na to nie patrzeć, ale szybko pocieszyłam się myślą, że przecież ja wrócę tu znów za prawie dwa miesiące, i z radością powitam port w Gdyni. Przekry obraz szybko minął i z ciekawości zaczęłam oglądać mój nowy „dom”. Oczywiście początkowo trudno tu było gdziekolwiek trafić — kilka pieter, pełno sal, salek, kajak, zakamarków. Ja na szczęście znośłam dobrze kołysanie statku, ale żal było patrzeć na tych, których natychmiast chwyciła morską chorobą. Z naszej grupy najgorzej czuła się Ania German, biedna przez cały czas podróży nie opuszczała swojej kajuty.

Ale prawdziwy „cyrk” rozpoczął się dopiero wtedy gdy wypłynęliśmy na Ocean. Pogoda raptownie zmieniła się, słońce zakryły chmury i zerwał się wiatr, którego siła rosła z minuty na minutę. Nie było wątpliwości — zbliżał się sztorm. To, co działo się potem, trudno opisać. Na pokład wybiegło nie było wolno, bo groziło zdmuchnięcie do wody, po korytarzach snuli się szarzy ze strachu i mdłości pasażerowie, objając się od ściany do ściany — trudno było zachować równowagę, tak kołysało. Ci, którzy nie musieli spędzać czasu w toalecie, śpieszyli do barku który zapelnił się po brzegi — każdy zalewał robaka, w kieliszku topił swój strach.

Najgorsze były noce. Ciemno, przerażająco, słychać tylko było wyjący wiatr i skrzypiący statek. Nie odzywaliśmy się nic, każda leżała cichutko i próbowała zasnąć. Ale gdzieś tam, strach to okropne uczucie.

— Karin, ty słyszysz jak ten statek skrzypi? Czuję, że się zaraz rozrypie — pocieszała mnie Kasia Sobczyk.

— Nie martw się, nie będzie mi same, tam rybki już na nas czekają — rewanżowałam się.

W ten sposób przeżyliśmy kilka dni i nocy pełnych grozy.

Wreszcie „Batory” zarzucił kotwicę w porcie Quebec, skąd przemiejszono nas do Bostonu. Od tego miasta zaczynało się

nasze tournée po kilkunastu największych stanach USA i Kanady.

Miałam tremę, pierwszy koncert w Stanach, jak mnie przyjęła publiczność? Po pierwszych koncertach w Ameryce ukazała się notatka w „Polityce”:

„W felietonie pt. „Nieapetyczna Muza” napisałem, że przesadą jest wysyłanie Karin Stanek za Atlantyk. Jak wynika z doniesień prasowych właśnie ona zdobyła tam znaczne powodzenie. Wypada więc wycofać wypowiedzianą przedwcześnie opinię. M.R.”

Zaspiewałam jedną piosenkę, potem drugą i już nie bałam się — sala była moja. W piosence „Tato kup mi dzinsy” zeskoczyłam swoim zwycięzcy z estrady i usiadłam wybranemu panu na kolanach. Entuzjazm publiczności rosł. Takich owacji nie miałam już dawno, długie, nie milkące brawa kazały mi bisować, bisować, a potem jeszcze wiele razy się kłaniać. Impreza się skończyła, a ja obsypana kwiatami nie mogłam wydostać się z garderoby — tłumy ludzi czekały przed wyjściem, aby posiedzieć z autografem, o zdjęciu i przypatrywali mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

Ten występ był moim kolejnym sukcesem, szły na widowni przekraczały moje najśmielsze marzenia. Począwszy chyba od drugiego koncertu na terenie USA, nasz impresario, Jan Wojewódka, tak bardzo mnie polubił, że opiekował się mną jak własną córką. Później zresztą, w porozumieniu ze swoją małżonką, chciał mnie adoptować — na co oczywiście nie mogłam się zgodzić.

Pewnego razu po koncercie, jak zwykłe, porwano mnie do samochodu i zostałam zawieszona do domu piekarzy — również z pochodzenia Polaków. Wprowadzono mnie do przedpokoju, gdzie zdejmałam płaszcz, a następnie stanęłam w drzwiach prowadzących do pokoju. Stałam i stałam. Bałam się dać krok naprzód. Podłoga była pokryta cudownie białym, puszystym dywanem. Według mnie to nadawało się tylko na pokrycie foteli, ale chodząc po tym nie miałam sumienia. Jednak gospodarze grzecznie i stanowczo zapraszali mnie do wnętrza. Weszłam. Był to olbrzymi salon — pokój przyjeźdźcy. Jedną ze ścian stanowiły pancerne rośliny — od podłogi do sufitu — z niewielkimi przejściami, za którym oczom moim ukazała się najprawdziwsza, cudowna fontanna, wyłożona kolorowymi kafelkami. Byłam oczarowana. Wokół masa kwiatów, a wśród nich, przy fontannie, małe cukierkowe foteliki. Czulałam się jak w bajce, pierwszy raz w życiu miałam tak urządzone mieszkanie.

Następnego dnia postanowiliśmy z Lucjanem Kydryńskim wybrać się na szczyt najwyższego budynku na świecie, liczącego 102 piętra — Empirw State Building. Trudno było sobie odmówić takiej okazji. Jest to olbrzymi biurowiec, w którym (jak się dowiedziałam) pracuje około 16 tysięcy osób. W budynku tym znajdują się 72 windy wybrałyśmy więc jedną z nich i... wystartowałyśmy. To określenie jest chyba najtrafniejsze, bo czulałam się rzeczywiście jak przy starcie odrzutowca, windy są szybkie i bez-

nie było to najprzyjemniejsze uczucie, odruchowo zatykałam uszy i z przyjemnością korzystałam z odpoczynku przy okazji dwóch przesiadek, które mieliśmy po drodze. Wreszcie znaleźliśmy się na szczycie, skąd rozciągał się naprawdę wspaniały widok. Cały Nowy Jork jak na dłoni i dachy wieżowców, które tam, na dole, wydawały się być tak wysoko. Ale najzabawniejsze było to, że stąd, z góry, oglądaliśmy helikoptery, które lądowały i startowały z dachu wielopiętrowego budynku Panamerican.



10 kwietnia dawaliśmy koncert w Nowym Jorku. Spiewałam „Tato kup mi dzinsy” — piosenkę, która najbardziej podobala się w moim repertuarze. Z piosenką tą miałam kłopoty już od początku trasy, bo Amerykanie gdy się dowiedzieli, co znaczą jej słowa, tłumnie podchodzili za kulisy po koncercie i szukali mnie, aby wręczyć dolary na dzinsy. Ja oczywiście przyjmować nie chciałam, więc się obrażali, byli oburzeni — i co miałam robić? Musiałam przyjąć. Ci, którym udało mi się jakoś wytłumaczyć, że to nie wypada, abym przyjmowała pieniądze, przysyłali mi nazajutro do hotelu całe komiety dzinsów. Byłam nimi tak obławiana, że po skończonym tournée, wracając do kraju, musiałam część porzucić, a resztę rozdałam wśród znajomych w Polsce, zostawiając jeszcze zapas dla siebie i rodziny.

Wkrótce po moim zejściu ze sceny, do garderoby weszła przemilla pani z synem i ze zżymami w oczach, naprawdę szczerze, gratulowała mi występu. Rozmawiałam z nią dość długo, wypytowała mnie o wiele rzeczy, między innymi zapytała gdzie nauczyłam się tak doskonale tańczyć, że ona czegoś podobnego jeszcze nie widziała, choć przejechała kawał świata i obejrzała wiele. Na zakończenie naszej rozmowy jeszcze raz uscisnęła mnie i powiedziała: „Masz, dziecko, szanse zrobienia światowej kariery, pamiętaj o tym”. Po czym pożegnała się i wyszła. Po jej wyjściu wszyscy w garderobie patrzyli na mnie, a widząc, że nie reaguję, że nic nie mówię, zapytali:

— Czy wiesz kto to był?
— Nie, nie znam tej pani, a co?

Oprac.

A. KRYSZKIEWICZ